Nr. 39. Poznań, Niedziela 23go Grudnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Czas odnowić przedpłatę!

„Przegląd Poznański“ kosztuje kwartalnie na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

3,75 mr.

w mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej, wraz z odnoszeniem do domu

3 mr.

we wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

4,00 mr.

„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

W roku 1895 zamieści „Przegląd Poznański“ utwory pierwszorzędnych literatów polskich i obcych. Najwybitniejsi beletryści i uczeni poznańscy, warszawscy i krakowscy, bądź to już złożyli owoce pióra swojego w naszem biurku redakcyjnem, bądź też obiecali zasilać nas stale pracami swojemi; dla urozmaicenia treści „Przeglądu Poznańskiego“ zaprowadzimy od Nowego Roku stałą rubrykę p. t. „Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego“, a w odcinku ogłosimy interesujące powieści i nowelle literatury polskiej, norwegskiej, rosyjskiej, francuzkiej i niemieckiej. Każdy numer zawiera 12 obszernych stronnic druku, na których czytelnicy znajdą następujące rozdziały: 1) Polityka, 2) Sprawy ekonomiczne, 3) Literatura i sztuka, 4) Badania naukowe, 5) Szkoła i wychowanie, 6) Życie społeczne (Kronika krakowska, londyńska, warszawska, paryzka, wiedeńska i berlińska, życiorysy, ważniejsze wypadki z życia przemysłowego i handlowego, sprawy sądowe etc.), 7) Feljetony, omawiające w lekkiej formie sprawy potoczne i sporne kwestye natury politycznej lub etycznej, 8) Rozmaitości, 9) Krótkie notatki o nowych książkach, 10) Powieści, nowelle i poezye, 11) Stałe przeglądy prasy słowiańskiej i polskiej, 12) Recenzye teatralne p. t. „Z estrady i sceny“ i wesołe pogadanki p. t. „Humorystyka teatralna“.

„Przegląd Poznański“ śmiało rywalizować może pod względem rozmaitości i treści materyału z najlepszemi tygodnikami warszawskiemi, a nie krępowany więzami cenzury przewyższa je stanowczo pod względem informacyjnym. To też wyrażając wdzięczność serdeczną za dotychczasowe poparcie, udzielone nam przez inteligencyę zaboru pruskiego, wstępujemy w rok nowy z głęboką wiarą, że koło czytelników naszych z dnia na dzień rozszerzać się będzie.

REDAKCYA.

TREŚĆ.

Oświata ludu.

I.

Zdaje się nieulegać wątpliwości, że w żadnej dzielnicy dawnej Polski lud nie doszedł jeszcze do tego stopnia oświaty, co w naszej. Przyczyniło się do tego kilka warunków. —

Przymus szkolny zaprowadzony od dość dawna w państwie pruskiem byłby może i sam przez się to zjawisko wywołał. zmniejszając ilość analfabetów, nie był on jednak w tym razie ani wyłącznym, ani też najpotężniejszym czynnikiem. Pod rządy pruskie dostała się najmniej liczna garstka Polaków; wśród niej inteligencya i wyższe klasy społeczne stanowią zaledwie mały procent, większość zalicza się do ludu. Aby módz się z jakimkolwiek skutkiem opierać germanizacyjnym wpływom należało koniecznie pozyskać dla narodowej walki jaknajszersze masy, uświadomić je, rozbudzić i pod wspólnym sztandarem zjednoczyć. Konieczność ta stała się jeszcze bardziej widoczną i naglącą z chwilą, gdy spostrzegliśmy, że klasy możniejsze i posiadające walki ekonomicznej z niemieckim kapitałem wytrzymać nie mogą, że wciąż ustępują z pola i że jedyne nadzieje na przyszłość tylko na warstwach niższych opierać można. Obok tych wszystkich stałych wpływów przybył jeszcze okolicznościowo inny, może najpotężniejszy Była nim walka kulturna. — Prześladowany kościół również wśród ludu szukał poparcia i obrony i również kwestyą bytu stało się dla niego pozyskanie umysłów warstw niższych, pobudzenie ich do oporu i walki.

Ztąd też już bardzo dawno zaczęto u nas pracować nad oświecaniem maluczkich, ztąd pojawiło się bardzo wiele pisemek peryodycznych, wydawnictw ludowych, tanich książek rozpowszechnianych gorliwie po wsiach i miasteczkach. Naturalnie nie pozostało to bez pewnych ogólnych korzyści: lud przyzwyczaił się czytać i obecnie już czytać potrzebuje, same jednak przyczyny, które ten ruch wywoływały sprawiły, iż miał on charakter tendencyjny, a zatem jednostronny i poniekąd skrzywiony.

Nieomal wszystko, co się u nas dla oświaty ludu zrobiło, czyniono nie w jego, lecz we własnym interesie. Szkoła uczyła go nie na to, by go oświecać, lecz aby go germanizować, my nie dążyliśmy do wszechstronego rozwinięcia i rozjaśnienia ciemnych umysłów, lecz do nadania im patryotyczno-katolickiego kierunku. — Rząd pruski, patryoci i księża — wszyscy starali się z niego uczynić narzędzie walki, podporę swej władzy, lecz nikt nie pracował nad jego cywilizacyjnym rozwojem. Ztąd też u nas oświata ludu ma zupełnie tylko jednostronny charakter, — i ztąd też od pewnego czasu małe bardzo robi postępy. — Obok niej krzewią się jak najbujniej przesądy i zabobony, obok niej i zupełnie niezależnie kwitnie ignorancya absolutna na punkcie zjawisk natury i stosunków społecznych, a ci sami, którzy czytają pisma polityczne i interesują się przebiegiem parlamentarnych obrad, wierzą w sny, czary, upiory — leczą się zamawianiem i odżegnywaniem uroków, ktore ich zdaniem bywają główną wszelkich chorób przyczyną. — Bardzo pocieszające objawy oświaty, obok bardzo smutnych dowodów ciemnoty spotykamy na każdym kroku przy zetknięciu się z ludem miejscowym. — Miło jest słyszeć, że nazwiska Sobieskiego i Kościuszki są powszechnie znane i czcią otoczone, ale bardzo nieprzyjemnie uderza brak wszelkiej umysłowej dojrzałości i zdrowego o rzeczach sądu. Dwa lata temu, gdy cholera pojawiła się w kraju, a w Poznaniu przedsięwzięto pewne środki ostrożności przeciw epidemii, słyszałem monolog pewnej zupełnie przyzwoicie odzianej mieszczki załamującej ręce nad rynsztokiem, który wapnem i chlorkiem oblewano. „Mój Boże! mój Boże! jak też to kuszą tego Pana Jezusa! a on jednak okaże swą potęgę i zarazę ześle jak zechce“. — Kobieta ta uważała dezinfekcyę za rzecz grzeszną, a każdy kto zna nastrój umysłów miejscowych, przyzna, iż wykrzyknik jej w szerokich masach mógł znaleźć sympatyczny oddźwięk.

Bliższa obserwacya faktów wykazuje więc że jeśli sporo już uczyniono, to jeszcze znacznie

więcej do zrobienia zostaje, że pracę intelligencyi nad ludem rozpoczętą przed blizko 30 laty należy ciągle uzupełniać, rozwijać, a przedewszystkiem na znaczenie szerszych oprzeć podstawach, że dzieło przez ojców rozpoczęte, dzieci powinny prowadzić dalej, zamiast ograniczać się na przechowywaniu otrzymanej spuścizny w stanie nienaruszonym i niezmiennym. Pod tym jednak względem jak pod wielu innemi społeczeństwo nasze żyje wyłącznie prawie dorobkiem lat minionych nie okazując najmniejszej dążności do uczynienia kroku naprzód. Wyraz „postęp“ — wydaje się wymazanym z miejscowego słownika, odpoczywamy po dawniejszych trudach zadawalniając się przekonaniem, że co uczyniono — uczyniono zupełnie dobrze, nie staramy się niczego poprawiać, reformować lub zmieniać.

Literatura dla ludu przeznaczona bogaci się wprawdzie ciągle, ale raczej ilościowo niż jakościowo; przybywa książek, lecz nie przybywa ani treści, ani nowych działów i znaczna część tego, co się drukuje lub pisze jest tylko niezręczną przeróbką lub koślawem naśladownictwem tego, co drukowano lub pisano dawniej. Dzieło rozpoczęte przez dawniejsze pokolenia z pewnym celem i myślą przewodnią, my czysto mechanicznie prowadzimy dalej nie kładąc w nie duszy, nie wlewając w nie nowego życia. — Zdaje się, że na nie ktoś rzucił tajemnicze zaklęcie: „dotąd — nie dalej!“ i kręcimy się ciągle w zamkniętem kole nie znajdując z niego wyjścia.

W książkach ludowych znajdujemy zawsze te same zachęty do tychże samych cnót objaśnianych w żywotach świętych lub powieściach moralnych z tą tylko bynajmniej nie na korzyść wychodzącą różnicą, że to, co było normalnem i naturalnem — doprowadza się po trosze do anormalnych rozmiarów i karykaturalnej przesady. — Owe cnoty zresztą objawiają się w warunkach tak niezwykłych, a tak do naszych stosunków niepodobnych, przeciwstawiane im bywają tak potworne zbrodnie, że naśladowanie książkowych wzorów staje się dla czytelnika wprost niemożliwem.

Aby dać mały przykład, wspomnę tu tylko powszechnie znaną powieść o Genowefie niesłusznie oskarżonej przed mężem, która cudem prawie uniknąwszy śmierci chroni się do lasu i tam przez lat siedem żywi siebie i syna korzonkami i mlekiem łani. Książkę tę kilka pokoleń już łzami oblewało: jestto jakby klasyczne dzieło ludowego piśmiennictwa, które rodzice dzieciom polecają.

Ma ona dość ważne zalety, przemawia do wyobraźni i uczucia, budzi zapał dla cnoty — słowem, dodatnio oddziaływać może w pewnym kierunku, Otóż Genowefa owa stworzyła całą szkołę; na jej obraz i pódobieństwo ulepiono cały legion bohaterek niewinnych, a prześladowanych i to prześladowanych w tak nieludzki, niemożliwy, potworny sposób, że przy najdłuższem i najburzliwszem życiu ze słabemi nawet odcieniami tego rodzaju zbrodni spotkać się niemożna. „Cierpliwe Gryzeldy“, „Nieszczęśliwe Heleny“ otoczone zgrają morderców, szpiegów, rozpustników, monstrualnych łotrów, bronią swej cnoty po bohatersku, a czasem dochodzą do iście fakirowskiej doskonałości, pozbywając się wszel-kich ludzkich uczuć, wszelkich naturalnych drgnień serca, aby służyć czytelnikom za szczytny wzór rezygnacyi lub cierpliwości. — Dzieje się to wszystko przy całkowitem pogwałceniu wszelkiej prawdy historycznej, geograficznej, fizycznej czy życiowej. — Są to dzieje księżniczek konstantynopolitańskich wychodzących za angielskich królów, mieszkających w Piemoncie pod samym Neapolem i t. d. i t. d. — Że takie książki podobają się niewykształconym czytelnikom, to jest równie pewnem jak i to, że ich wartość moralna czy estetyczna równa się zeru, — nie mówiąc już o tem, że na oświatę najmniejszego wpływu mieć nie mogą. Autorowie tych książek wiedzą tylko to, że najsilniej działającą władzą duchową ich czytelników jest uczucie i wyobraźnia, o ile więc dana książka do uczucia lub wyobraźni przemawia, wydaje im się zupełnie odpowiednią. Nie pamiętają jednak o tem, że poczytność książki jest jedynie zaletą względną, bardzo cenną wtedy, gdy jej przeczytanie umysł rozjaśnić, serce uszlachetnić, charakter ukształcić może. Nie należy przecież sądzić, że ponieważ lud nie jest mądrym — to i książki dla niego mądremi być nie potrzebują, a ponieważ nie ma wybrednego gustu, więc ich strona estetyczna jest obojętną. — Naturalnie każde dziełko dla umysłów niewykształconych przeznaczone powinno być przedewszystkiem przystępnem i zajmującem, gdyż inaczej zupełnie chybia celu, lecz ten warunek jest czysto zewnętrzny i innych zalet nie zastąpi.

Pod zachęcającą formą należy zawsze podawać treść zdrową i z prawdą zgodną. Lud zachwyca się zmyśleniem i bajką, lecz właśnie zmyślenie i bajka są dla niego bardzo niewłaściwym pokarmem. Umysł samodzielny, pewnym zmysłem krytycznym obdarzony umie pod fantastyczną formą odkryć myśl głębszą, lecz czytelnicy mniej wykształceni wierzą we wszystkie rzeczy drukowane ślepo, biorą je dosłownie, polegają na uczciwości autorów, że im nic nieprawdziwego do wiadomości nie podają i dlatego też nie znając się na allegoryach przyjmują całą treść ksiażki bez zastrzeżeń. To też w tym właśnie dziale piśmiennictwa należałoby jak najskrupulatniej trzymać się prawdy i liczyć się z nią sumiennie. Jeśli wypadek jakiś dzieje się w dawnych czasach, powinien być rzuconym na tło historyczne z dziejami zgodne, jeśli odbywa się w dalekich krajach, wszelkie mijanie się z geografią ściśle wykluczone być powinno. — Wreszcie w samym wyborze wypadków i zdarzeń należałoby się może trzymać przeważnie takich, którym podobne w życiu spotykać można; nauki moralne z nich czerpane znacznie większą wartość praktyczną mieć będą. W życiu naszego ludu zachodzi bardzo wiele zdarzeń, przygód, powikłań dramatycznych, a nawet smutnych tragedyi. — Patrzy on codziennie na wiele błędów i przestępstw, spotyka się z niejedną pokusą — byłoby więc dosyć materyału, aby ożywić akcyą i zająć wyobraźnią. — Dałoby to zresztą pole do rozjaśnienia jego poglądu na rzeczywiste otaczające go warunki i wyrobienia w nim zdrowych pojęć moralnych, które w zwykłem życiu przewodniczyć by mu mogły. Ale niestety, w książkach dla ludu przeznaczonych unika się starannie wszelkiego realizmu, przedstawia się złe tylko w nadnaturalnej postaci, w bengalskiem świetle piekielnego ognia, pokrywając milczeniem te wszystkie objawy zboczeń moralnych, z któremi się on w codziennym życiu spotyka. — W ogóle wszelki pokarm dla niewykształconych umysłów przyprawia się wedle całkiem odrębnej recepty, nie już pod względem formy, gdyż to byłoby usprawiedliwionem, lecz względem treści samej. Religią zaprawia się opisem niezliczonych cudów i wizyi sprowadzając ile możności do czysto zewnętrznego kultu, historya staje się zbiorem fantastycznych anegdotek, powieść nieprawdopodobną bajką — a co do prawd naukowych — tych nie wyjaśnia się prawie wcale lub podaje w tak nieprzystępnej formie, że wprost odstręcza czytelników.

Naturalnie spotykamy i tutaj chwalebne wyjątki — lecz są one stosunkowo t. j. względnie do potrzeb umysłowych czytelników bardzo nieliczne. Znaczna część wydawnictw ludowych stanowi strawę duchową niepożyteczną, czasem szkodliwą, a ogólnie biorąc nie wystarczającą.

Bliższe rozpatrzenie się w tym dziale piśmiennictwa pozwala twierdzenie to licznemi poprzeć przykładami.

I. M.

---

2)

MARYA RODZIEWICZ.

RYNGRAF.

NOWELA.

(Ciąg dalszy.)

Żeby źródło, cienia trochę, wody kropla zamiast kamieni. Ścieżka zygzakiem zbiegała w dół, ale pochód trwał w pojęciu Konstantego wieki i myślał z rozpaczą, że do piekieł chyba zejdzie... Kurz i pot pokryły mu ranę na twarzy, piekła ogniem, ręce mdlały, a ust spalonych nie mógł zamknąć, języka zeschłego poruszyć. Chwilami bezbrzeżna rozpacz go ogarniała na myśl, że padnie i skona — nadaremnie. Chrapał jak zdławiony. A Stach nie jak ołów, już mu ciężył ale jak góra, jak całe Pireneje!

Wtem ścieżka zwróciła się raptownie na lewo i głuchy okrzyk wydarł się z gardła Konstantego. Przed nim o kilkaset kroków, wśród winnic i kasztanów, leżała spora osada. Ścieżka biegła między winnice i dobiegała domów. Nad domami wznosiła się wieża kościoła.

Zataczając się jak pijany, dobywając resztki sił, młody oficer dowlókł się do pierwszego domu i padł na rozpalone kamienie z głuchym jękiem.

Na galeryi nad nim rozległ się okrzyk trwogi.

Oprzytomniał i podniósł oczy.

Ujrzał utkwione w siebie ostre, świdrujące oczy starego hiszpana i obok czarne również, ale nad wyraz piękne źrenice młodziutkiej dziewczyny. Chciał coś powiedzieć, ale nie dobył głosu, więc tylko powstając, pokazał ranę leżącego i ruchem o wodę błagał. Hiszpan porozumiał się kilku słowy z kobietą, i nie kwapiąc się wcale, zszedł na dół.

Dziewczyna znikła również, ale po chwili ukazała się z wodą.

Konstanty zbryzgał twarz Stacha i obmył ranę. Hiszpanie przyglądali mu się, szepcząc między sobą.

Nie zważał na nich, stroskany i nieszczęśliwy. Gwałtem wlał rannemu wody do gardła i patrzał nań z bezmiernym niepokojem.

Serce biło, strzał je nie zaczepił, ale może to były ostatnie odgłosy agonii.

Dziewczyna zaciekawiona i przelękła pochyliła się nad nim. Raz pierwszy widziała takie płowe włosy i jasne wąsy sarmackie; odskoczyła, gdy omdlały rozwarł nagle swe wielkie, błękitne oczy i nieprzytomnie powiódł niemi dokoła. Konstanty odetchnął. Otarł twarz z potu i krwi, resztę wody wypił i przemówił do hiszpana, dotykając grzecznie kaszkietu.

— Wróg to wasz, ale ranny! Wyniosłem go z bitwy. Dajcie mu przytułek, jeśli w Boga wierzycie! Nie mam siły odnieść go do swoich.

Niewiadomo czy stary zrozumiał. Wodził oczami od leżącego do niego, od niego do gór i palił spokojnie cygaro. Dziewczyna rzuciła mu słów kilka, ruszył ramionami. Konstanty się zniecierpliwił.

— Ludzie jesteście, czy nie? Nie widzicie, że mu śmierć zagląda w oczy i ratować trzeba. Zapłacę wam, ile chcecie, ale dajcie mi go uratować, opatrzeć, złożyć gdzie w bezpiecznem miejscu.

Stary poruszył się i chudym palcem wskazując góry, odparł łamaną francuzczyzną:

— To moi ludzie go zabili. Jestem Alcad z El Pahul! Ty wiesz, co to znaczy?

— Bądź sobie szatanem, ale go przyjmij w swój dom.

— Nie boisz się?

— Nie! — odparł porucznik spokojnie.

— Więc wejdź? — rzekł stary uroczyście.

Raniony znowu omdlał. Kolega wziął go na ręce i wniósł ze starym do wnętrza domu. Dziewczyna zamykała pochód i ogarnięta litością, podtrzymywała bezwładną głowę wroga, Konstanty się obejrzał.

— Dziękuję wam! — rzekł łagodnie.

W pokoju na dole, na macie złożono Stacha. Hiszpan wydał córce rozkazy i po chwili przy-

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Ukrainofilskie „*Dilo*“ tak opisuje przebieg zebrania radykałów ruskich, stronnictwa socyalistycznego:

„Pierwsze zebranie radykałów ruskich we Lwowie nie wypadło imponująco. W sali ratuszowej zebrało się około 200 ludzi w części włościan ruskich i polskich, w części robotników lwowskich. Zebraniu przewodniczył Pawłyk, redaktor „Chliboroba“. Nasamprzód odczytano telegramy od ruskich akademików z Krakowa, potępiający tak polskofilską jak i moskalofilską agitacyą, dalej przesłali adres studenci czescy z Pragi, życząc Rusinom przy obradach powodzenia.

„Pierwszym mówcą był dr. Daniłowicz z Kołomyi. Zaznaczył on, że byłoby ztamtąd wielu Rusinów przybyło, ale nikt nie wierzył w możliwość tego, aby władze, na wiec zezwoliły, ponieważ w innych miejscach zezwolenia radykałom ruskim stanowczo odmawiano. Mówił potem o zamieszaniu, jakie obecnie w obozie ruskim panuje. Zamęt wśród inteligencyi, zamęt wśród posłów i ludu ruskiego, nikt obecnie nie wie, czego się trzymać. Na wiecach ruskich dochodzi do tego, że mówców z trybuny zrzucają, nie zważając na to, kto mówi, czy duchowny, czy świecki. Swoje stronnictwo nazywa mówca stronnictwem rusyoukrainskiem i radykalnem. Stronnictwo powstało niedawno, ale ma już dwa pisma „Naród“ i „Chliboroba“.

„Przeciw partyi radykalnej występują zgodnie moskalofile i ukrainofile. Tak towarzystwo moskalofilskie im. Kaczkowskiego, jako i ukrainofilska „Proswita“ rozpoczęły przeciw niej walkę zaciętą i członkowie radykalnej „Narodnej Woli“ prześladowani są wszędzie.

„Zapytuje się, czemu ruch ten zwalcza duchowieństwo i inteligencya. Oto dla tego, że lud ruski poczyna o sobie sam myśleć, swoich interesów bronić. Lud ma równe prawa, jak inteligencya do używania praw mu przysługujących, prosty człowiek słusznie domaga się tego, ażeby mógł używać porówno z innymi tego, co daje postęp i cywilizacya. Ludzie pracy chcą, aby im za tę pracę lepiej płacono, ażeby im było lepiej niż dotychczas.

„Skarżą się u nas na to, że lud pogrążony w apatyi haseł politycznych nie rozumie

„Lud trzyma się zdala od tego wszystkiego, bo go koła narodowe nie obchodzą. Gdyby kwestyę chleba wniesiono w agitacyę, wówczas poruszonoby masy ludu, bo kwestya chleba jest dla każdego zrozumiałą; gdyby zaś ruch masowy się rozpoczął, toby nim pokierować można było łatwiej.

„Lud ruski dojrzał, jak każdy inny lud w Europie. Kwestya narodowa ustępuje na plan drugi, a naprzód występuje kwestya socyalna. To samo można powiedzieć o ludzie polskim, bo ruch chłopski pomiędzy mazurami jest ruchem socyalnym.

„Tylko dwa stronnictwa mają racyą bytu: Jedno, które chce, aby dalej biednych wyzyskiwano, drugie, które pragnie temu wyzyskowi położyć koniec...“

* * *

Bułgarski „*Naroden Prijatjel*“ pisze:

„W tych dniach obchodzono w Sredcu w domu „Slowackiej Besedy“ na pamiątkę stracenia z rozkazu Stambułowa dwóch literatów i poetów bułgarskich Milasowa i Georgiewa. Pierwszy zwłaszcza był osobistością bardzo sympatyczną, a choć młodym był, liczył bowiem lat 25, niemałej dorobił się w całym kraju sławy. Pamięć zmarłych uczczono na zjeździe literatów bułgarskich, w którym brała udział szeroka publiczność. W „Słowanskiej Besedzie“ postanowiono za zmarłych urządzić nabożeństwo żałobne, w którem uczestnicy zjazdu wzięli udział gremialnie. Po nabożeństwie udano się tłumnie na cmentarz. Groby literatów zarzucono kwiatami i zwilżono łzami.

„Po tej manifestacyi żałobnej udał się tłum do mieszkania Stambułowa. Kto wie, coby się z nim było stało, gdyby policya i wojsko nie były manifestantów rozproszyły. Od kilku dni taka panuje niechęć przeciw Stambułowowi, że dawniejszy władzca nie śmie na krok opuścić domu. Mówią o nim, że spisuje swoje pamiętniki.

„Dotąd też utrzymują się uporczywie pogłoski, że Stambułow ma wkrótce wrócić do władzy, Ma być w tem intryga pewnego mocarstwa, które w rządach Stambułowa widzi porękę spokoju w Bułgaryi.“

* * *

Do serbskiego dziennika „*Zastawy*“ piszą z Czarnogórza:

„Zdaje się, że już na zawsze położonym zostanie kres ustawicznym walkom pogranicznym pomiędzy Albańczykami a Czarnogórcami. Tak z jednej jak i z drugiej strony pokazują się intencye zaniechania krwawych sporów. Przecież główną zasługą uspokojenia umysłów ma konsul czarnogórski w stolicy Albanii, Miljakowicz. Albańska ludność uznaje dziś dobre chęci Czarnogórza i mając u siebie reprezentanta Czarnogórza załatwia u niego na drodze legalnej spory z Czarnogórcami. Jest on już 20 lat konsulem w Skadrze. Przed siedmiu laty ludność albańska podburzona przez ojców Jezuitów, którzy są jej stałymi doradzcami, rzuciła się na gmach konsulatu. Ojcowie Jezuici wmówili w ludność, że flaga czarnogórska na budynku powiewająca, miała być znakiem aneksyi Skadry przez Czarnogórze. Przed mieszkaniem konsula zgromadził się tłum i począł już do okien strzelać. Wówczas to Miljakowicz wziął sam do ręki sztandar czarnogórski, wyszedł na ulicę i pogroził tłumowi, że umrze każdy, ktoby śmiał się targnąć na sztandar czarnogórski. Tłum ustąpił, a Miljakowicz udał się do przystani jeziora skaderskiego, wsiadł na parowiec czarnogórski i odjechał. Obecnie zyskał on tyle wśród Albańczyków zaufania, że jego rady chętnie słuchają i ma u nich więcej wpływu i powagi, aniżeli władze tureckie.“

* * *

Staroruski „*Hałyczanin*“ pisze pod nagłówkiem „Hroznoje memento“ (Groźne memento) w stosunku unitów do Rzymu:

„Biskup Łazar Mładinów, głowa unitów bułgarskich w Macedonii wydał odezwę do swych dyecezyan, w której oświadcza, iż zrywa jedność z kościołem rzymsko-katolickim i przyłącza się do schyzmy. Skutek odezwy był ten, iż wszyscy jego dyecezyanie wraz z proboszczami poszli za jego przykładem. Jako powód tego kroku przytacza biskup, różne fakta, świadczące o nadużyciach kleru katolickiego, zwłaszcza OO. Jezuitów, jakich się dopuszczano na wolnościach Kościoła unickiego...

„Nietylko wśród unitów bułgarskich w Macedonii, ale w całej Bułgaryi panuje niechęć przeciw tym intrygom.

„To samo dzieje się w Galicyi, gdzie OO. Jezuici wszystko czynią, co mogą, aby cerkiew ruską zlatynizować.

„Na to nie ma innego sposobu, jak wysłanie do Ojca św. deputacyi, którąby groźne po-

---

niosła wina i płótna do opatrunku. Jak mógł i umiał Konstanty mu ranę obwiązał, posłanie poprawił, napoił i usiadł nad nim, z czułuścią ojca śledząc znaku życia.

Z daleka stary przyglądał się im ciągle, świdrującemi oczkami.

Gdy z za munduru błysnął ryngraf, który Konstanty zdjął i na ścianie powiesił, hiszpan się przeżegnał i o krok się zbliżył. Blacha ta srebrna ze złocistą Bogarodzicą w środku, zajęła go niezmiernie: ciągle na nią zerkał, a przez oliwkową, pomarszczoną jego twarz przechodziły różnorodne wrażenia. Gdy porucznik dokończył opatrunku, zagadnął go pierwszy:

— Wy katolicy?

— Tak.

— Prawdziwi? rzymscy?

— Tacy jak wy.

— Polacy?

— Tak.

— A z jakiego wojska?

— Ułani — los *infernos!*

Alcad przyjrzał mu się z podziwem.

— Bardzo jesteś odważny, że się do tego znienawidzonego pułku przyznajesz.

— Mówię prawdę. Nasza wiara broni nam kłamstwa, a pułk nasz hańby nie ma na sobie.

— Nie boisz się naszej zemsty?

— Nie. Możecie mnie zabić, byleście oszczędzili ranionego. Żołnierz ze śmiercią oswojony i jestem bezbronny wśród was, wrogów. Nie ruszajcie tylko jego, bo on teraz święty! Gdy mnie zabijecie, będzie to zemsta, ale gdy jego dotkniecie, to będzie kryminał przed ludźmi i Bogiem.

Hiszpan zwrócił się do córki.

— Mercedes, przynieś temu żołnierzowi posiłek — rzekł.

Dziewczyna po chwili podała porucznikowi sałaty. Przyjął i. podziękowawszy, zaczął jeść chciwie.

— I trucizny się nie boisz? — spytał Alcad.

— Boję się tylko podłości! — odparł spokojnie.

— A masz na sobie jaki znak święty?

— Konstanty odchylił mundur i pokazał szkaplerzyk narzeczonej.

Ojciec i córka przeżegnali się.

Raniony się poruszył i poprosił pić słabym szeptem. Kolega pochylił się nad nim i uniósł głowę. Dziewczyna podała mu wody.

— Obmyj sobie twarz! — rzekł Alcad.

Porucznik ramionami ruszył, i wlepiwszy wzrok w chorego, zapadł w ponure rozmyślanie. Nagle głowę podniósł, wstał i przystąpił do starego.

— Muszę wracać! — rzekł. Na Bożą wolę i na waszą szlachetność zostawiam go. Dobył z kieszeni woreczek złota i na stole położył.

— Nie mam więcej — dodał — łupów nie umiem brać, a te pieniądze moje własne, możecie je śmiało zatrzymać. Gdy mi czas pozwoli, przyjdę go odwiedzić, a jeśli będziemy blisko, zabiorę go. Teraz muszę zostawić i do sztandaru wracać! Jeśli ulitujecie się nad nim, odpłacę podobnem sercem waszym ranionym braciom. Zostańcie z Bogiem!

Popatrzył raz jeszcze na ranionego, westchnął, i siłą woli odrywając się od tego ukochanego, wyszedł nim hiszpan mógł słowo rzec. Gdy wyjrzeli za nim, zniknął już wśród winnic. Nazajutrz dopiero po całonocnem błądzeniu dogonił pułk w marszu i zameldował się starszyźnie. Zaliczono go do zabitych i powitano radośnie. Opłakano Stacha, dowiedziawszy się, gdzie był i w jakim stanie, a potem wróciło wszystko do dawnego trybu — pozornie. Tak, pozornie, bo Konstanty jak automat się poruszał, jak automant walczył.

Przez gaje granatów i kasztanów, przez dymiące krwią pobojowiska myśl jego i dusza wracała wciąż do Stacha, czasem nadzieją ozłocona, czasem jak grób rozpaczna. I pytał siebie sto razy, czy dobrze zrobił, rzucając go na pastwę zdziczałych gierylasów w domu ich głównego wodza, czy nie lepiej byłby uczynił, żeby go dalej niósł w ramionach, ażby obadwa padli. Czasem niezdolny znieść udręczenia, chciał przez te granaty i góry iść i odwiedzić go żywym lub w grobie, ale żołnierz brał górę nad przyjacielem i zostawał u sztandaru, i tylko

łożenie unickiego Kościoła w Galicyi Ojcu św. przedstawiła i wezwała, aby tej agitacyi, mogącej wyjść katolicyzmowi na niekorzyść, położyć koniec. *K.*

LITERATURA I SZTUKA.

Prywatne stosunki z muzą.

——

(Ciąg dalszy.)

Jakże pragnąłbym zetknąć się jeszcze kiedyś z tą sympatyczną dwójką, nad tą samą strugą, na tej samej grobli i przed tym samym niebieskawym oparem, co otulał widniejący w oddali łańcuch święto krzyzkich wzgórz...

To były młode panny, a teraz pokażę wam wesołego Ajaksa.

Ledwiem odwrócił kartę, a już zalatuje od niej wszystkiemi nasieniami knajpy, szkoły i armii. Nie inaczej! Czyż nie widzicie na fotografii, jak się zgrabnie i prosto trzyma? Zupełnie jak przystoi na c. k. lejtnanta. Nawet te małe loczki wiedeńskie, podobne nieco do... pejsików mówię, że sąsiadowały ongi z szamerowanym kołnierzem.

W pracowni można jeszcze znaleść płaszcz, mundur, buty z ostrogami i wogóle to, co stanowi ruchomy inwentarz c. k. lejtnanta. Służba u Marsa obdarzyła go nadto różowemi policzkami, cudownym humorem i tem wszystkiem, co zachwyca kobiety i podoba się lampartom.

Zanim wstąpił do szeregów, siadywał na katedrze łaciny i greki w gimnazyum jednego ze sławetnych grodów Galilei, no a dzisiaj... został malarzem. Czy można wymyśleć zabawniejszą plątaninę? To też skupia w sobie aż trzy pierwiastki wielkomiejskie naraz i jest zawsze nader pożądanym towarzyszem. Nie ręczę, czy za parę lat nie zostanie znów poetą, albo nie wstąpi na medycynę, a wtedy będziemy wśród siebie mieli chodzącą wieżę Babel.

Gdy zajrzy do buteleczki reńskiego — a głowę ma dość mocną — wyrzuca od czasu do czasu wykrzykniki wojskowej komendy: *Präsentirt das Gewehr*! *Rechts um!* ku wielkiemu zadowoleniu siedzących nieopodal niemiaszków. A gdy wpadnie w dobry humor wygłasza mowę łamaną makarońską łaciną. Żaden volapuek nie wynajdzie takich cudownych dźwięków i zwrotów. Wspomnieć o Krakowie, wnet pocznie naśladować niektóre popularne typy miejscowe ze sfer... jakby tu powiedzieć — no, niech będzie ze sfer — sferycznych, a wszystkim kolegom, pochodzącym z Galicyi i Głodomoryi, błyszczą ze wzruszenia i entuzyazmu oczy.

Nie chciało mi się wierzyć, ażeby ten człowiek mógł malować, albo w ogóle coś wykończyć. Wieczorem przy piwie, w nocy przy winie, rano przy wodzie sodowej i zapewnie marynowanym śledziu. Sprośnik w ogóle ogromny i cynik bezprzykładny. Jeśli nasz „tabaczkowy“ znajomy, a jego landsman, sypał ustawiczne groźby, że zamieni cały świat w Sodomę i Gomorę, to były to strachy na lachy, przechwałki i nic więcej, zaś c. k. lejtnant nie obwieszczał zawczasu swych tryumfów nad cnotą, ale je za to faktycznie odnosił. Wyrafinowana to we wszystkiem sztuka, namiętny wyznawca zasady: *naturalia non sunt turpia*. Dla czarnych spódniczek z białemi fartuszkami — jest to umundurowanie kelnerek monachijskich — istna plaga.

A przytem „bestya“ sympatyczny jak rzadko, koleżeński, uczynny, poczciwy, jeśli się do kogo przywiąże, kocha go prawdziwie, całuje bezustannie — rozumie się przy kieliszku — i uwielbia.

— Pluję na wszystko! wrzeszczy na cały głos. choć nas otacza tłum z dwóch tysięcy maskaradowiczów złożony — jedyna sztuka coś warta, a oprócz niej Dux; Dux to jego mistrz.

Miewa wszakże napady łagodnej melancholii, mianowicie wówczas, gdy zamyśla się nad własnym artyzmem; poniewiera wtedy sobą bez żadnych ceremonii, skrobie się w głowę, wątpi o przyszłości, truchleje i wszystkich prosi o radę i wskazówki. Czy z niego wyrobi się dobry malarz, nie ręczę, ale to pewna, że przywędrował lat temu dziesięć z Ukrainy, od cukrowniaaych kotłów, koło których chodził. Było mu tam i ciepło i dostatnie, ale go wabiły wdzięki akademii monachijskiej. Idzie teraz w rydwanie, służy na przyprzążkę, bo jest zanadto znarowiony i rozkochany w swobodzie, żeby módz kornie stąpać u dyszla.

Ciało marne, kilka razy chorował ciężko, a przyjaciele nie widzą bynajmniej zbawienia dla niego w włóczędze za granicą, ani rękojmi długiego życia, ale jego to nic a nic nie obchodzi; marzy wciąż o tem, żeby pomknąć za ocean, do Ameryki, stamtąd przekroczyć do wschodniej Syberyi — bo przeczuwa w niej skarby, motywów malarskich, potężnych jak Boreasz, a nietkniętych jeszcze, dziewiczych.

— Nie boisz się pan „pięćdziesięciu stopn. zimna“?

— E, czegóżbym się miał bać?...

— No, a cóż na to powie pańskie zdrowie?

— A cóż ma powiedzieć? odrzeka z nieschodzącym z twarzy uśmiechem, i bąka jeszcze coś niebardzo zrozumiałego, ale z czego można się domyśleć, że za tarczę przeciw okrutnej naturze północy uważa swój mizerny.., hawelok. Ręczę, że w tym haweloku puścił by się do bieguna. Spróbuj się śmiać z niego, a on ci najspokojniej w świecie będzie akompaniować.

Temi marzeniami on żyje i nigdy nie traci wiary w możność ich spełnienia się, mimo, że ma najczęściej, obok rozgwaru planów w głowie — gruntowne pustki w kieszeni. Postanawia wyruszyć w drogę, jak tylko zbierze trochę floty. Jego gospodarka oddala tę upragnioną chwilę na odległość... nieskończoną i to całe szczęście. Inaczej zginąłby marnie.

Ogromna fantazya pokutuje w tym niepozornym kopciuszku. Zdawałoby się, że dosyć głośniejszego słowa, by mu zamknąć usta. Sprobujcie jeno, a napotkacie opór zawzięty, iście litewski, który u towarzyszów wszedł aż w przysłowie. A już bieda z nim, gdy zaczerpnie męztwa z butelki benedyktynki lub wina — wówczas otwarcie wygada wszystko, co ma na myśli. Choćby dokoła były tysiące ludzi, zacznie na całe gardło bełkotać panegiryki na cześć ulubionych swych malarzy, którym stale dochowuje wiary i których broni od napaści z żarem turka, wojującego z „nieczystym psem.“

Jeśli się rzecz dzieje na ulicy, wtedy w zapale wybiegnie na sam środek i apologie swoje będzie niemal wywrzaskiwać. Żadne hamulce nie mają wówczas nad nim władzy. Wrogom swoich bożyszczy nie daruje żadnego bluźnierstwa i bić się będzie do upadłego.

Wspomniałem o gospodarce. Co za typowy z niego i w tym względzie nadwiślanin! Po wielu dniach ascetyzmu wyrobił swym obrazom zbyt łatwy i zyskowny. Pieniądze zawsze na niego czekają. Tylko na parę tygodni przysiéść fałdów, a posypią się złotym deszczem. Nie — on ze spokojem ducha, jaki tylko u niemowląt widzieć można, drepce sobie, skulony w swym haweloczku, z obiadu na partyjkę szachów i czarną kawkę, stamtąd na drugą, potem na pare „halb“ piwa, a kunsthaendler czeka i czeka i dziwi się, że nasz kraj posiada tak bogatych i niezależnych artystów...

Jak pogodzić tę bajeczną gnuśność z projektem zamorskich wojażów? Bo ja wiem?

Zdaje mi się, że na drodze do sławy, wyrównanej po części z wybojów, któremi je pierwotnie najeżyła golizna, sterczą teraz pewne

---

w nocy zawsze mu się coś roiło, że ma Stacha u boku, a w dzień wyglądał go bezustannie.

A Stach nie wracał.

Pułk się oddalał, rzucany rozkazami to tu, to tam... Mijały tygodnie w krwi i dymie, w marszach i trudzie. Lance ułanów rozbijały czworoboki piechoty, brały górskie wąwozy, znosiły baterye, pułk rósł w sławie i znaczeniu, Konstanty dostał krzyż i rangę kapitana. Stach nie wracał. Przy oblężeniu bohatersko bronionej fortecy. pułk dłużej w miejscu pozostał. Codzień armaty rozbijały mury. Codzień przypuszczano szturmy. Oblegającym i oblężonym brakło żywności. niepogrzebane trupy, rozkładając się w upale, zarażały powietrze.

Czekano z upragnieniem posiłków.

Pewnej nocy, Konstanty, wróciwszy ze swym oddziałem z wycieczki, przypędził tabun owiec i dziesięć wozów mąki. Nie cieszył się z tryumfu i zmęczony legł do snu w namiocie z siodłem pod głową. O północy zbudził się nagle. Byłoż to przeczucie?... Płótno namiotu podniosło się u wejścia i czarny cień człowieka stanął w otworze.

— Kto tam? — zagadnął kapitan.

— Ja bracie!

— Stach! — i padli sobie w objęcia.

— Żyjesz! Pochwalony Bóg miłosierny! Cud zdziałał dla babki twojej i dziewcząt naszych! Ach, bracie, com ja wycierpiał przez te miesiące, mając cię za straconego! Powiedz, nie zamęczyli cię ludzie? A rana? Zdrowyś?

Z niebywałym wybuchem ten poważny człowiek witał zmartwychwstałego, ściskał go, całował.

— Rana zgojona i zdrów jestem, jak nigdy! — odparł z zapałem. — Żebyś wiedział, jak ci ludzie mnie doglądali. Jak swoi najbliżsi, jak brata i krewnego. Nic mi nie brakło i ledwiem się wyrwał! Nie chcieli puszczać!

— Źle zrobili! Aleś ty i dnia nie zmitrężył?

— Nie... — odparł Stach z cicha.

— Trzy miesiące straciłeś... Tyle tryumfów. A jam cię co dzień wyglądał. Gorzką mi była sława bez ciebie. Przecież jesteś i da Bóg nie rozstaniemy się już. Zkąd przychodzisz?

Szukałem was i z posiłkową piechotą przed chwilą dobiłem nareszcie celu.

— Jest piechota, nareszcie! Weźmiemy to kamienne gniazdo i pójdziemy w pole szerokie. Oblężenie zjadło nam ułanów i zabrało sporo kolegów. Nie ma Brzozowskiego i Szeligi, ranieni śmiertelnie Stachowski i Turno.

— A tyś już kapitanem! Wyprzedziłeś mnie! — uśmiechnął się Stach, dotykając galonów.

— Czekały na ciebie takież i prędko je zdobędziesz.

Mniejsza o nie! nie chciwym awansów.

— Tak, ale nasze kobiety się ucieszą w kraju. Dla tego ich pragnę dla ciebie.

Przegwarzyli noc całą. Stach mało opowiadał i tylko pytał roztargniony dziwnie — i nie swój.

— Zaśnij przed ranem, bo o świcie pójdziemy w ogień — namawiał go Konstanty.

Nie usłuchał. Przesiedział wytrwale do świtu, paląc hiszpańskie papierosy, gdy otrąbiono pobudkę, poszedł w milczeniu do konia, stanął na swem miejscu pod wodzą Konstantego.

Zaczął się krwawy taniec. O zachodzie słońca zdobyto bramę fortecy i fala rozwścieczonego żołnierstwa zalała gród, głodna mordu i zemsty. Nie nasycili się do woli. Zamiast wrogów znaleźli kilka tysięcy zczerniałych trupów i kilka set jeszcze żywych szkieletów. Po całonocnej rzezi i okrucieństwach, nad ranem oficerowie ściągnęli swych ludzi i opuścili ten grób kamienny, za nimi wysadzono prochem fortecę.

Zadrżało powietrze, dymy zasłoniły niebo.

— Drogo nas to widowisko kosztuje! — rzekł Konstanty do Stacha, oglądając się raz ostatni.

— To hańba dla nas ta wojna — odparł z cicha porucznik.

Śmiertelnie blady Konstanty słuchał. Zda-

przeszkody czysto wewnętrzne. Jestto w gruncie rzeczy sceptyk, próżniak z przekonania, nietylko z słabości woli. Po pierwszym szale dla malarstwa, owładnęła nim apatya i rozczarowanie. Na międzynarodowej wystawie w Monachium, imponującej swym ogromem i bogactwem, chodził — powiada — rozgniewany. Nic go nie wzruszało, nic nie przyspieszało w nim pulsu, prócz jednego portretu pędzla Bastian Lepage'a.

Na resztę, złożoną z trzech tysięcy kilkuset płócien, wzruszał ramionami. Ma też zawsze uśmiech politowania i dla swych własnych utworów.

Możnaby domyślać się, że nie ma dosyć talentu. I owszem posiada smak bardzo wyrobiony i rysunek doskonały — i poczucie kolorytu wyśmienite.

No, ale nie zatrzymujmy go dłużej, bo spieszy na kawkę i weźmy jego sąsiada.

Postać smukła, elegancka, cała tabaczkowego koloru, nie wyłączając bródki, nosa i oczów. W ustach odurzające *virginia*. Dokoła mówią, on cały utonął w „ulotnych listkach„. Ale oto rozmowa stała się trochę za hałaśliwą, a kandydat na dobrowolnego sybiraka, wiecznie ochrypnięty, obdarzony głosem stłuczonego garnka, zaczyna wyśpiewywać w szachowem zacietrzewieniu; wnet tabaczkowy robi słodziutką minkę i odzywa się ze wszystkiemi pozorami szczerości:

— Wiesz, że twój głos jest nie tyle donośny ile przyjemny.

Wszyscy jak na komendę wybuchają śmiechem, a najserdeczniej pokłada się od swego dziwnie stękającego śmiechu sam „hawelok".

I cóż tak dziwnego w owem odezwaniu? Nic, ale pogromca knajpowych wybryków potrafi tonem mową i wyrazem twarzy kompletnie łechtać człowieka pod boki. Ma on przytem fantazyę à la Rabelais, w jego ustach wszelka parodya przybiera kształty gargantuiczne, kiedyś nawet z wielkiej hali „Salvator-Bieru" wyleciał wbrew woli — oknem, za udział w żywych, pono za żywych i naturalistycznych obrazach. Jest to chodząca kronika jaskrawych wydarzeń, zaszłych kiedykolwiek w kolonii, ale również dobrze zna lub stara się znać skandale i śmieszności znakomitych osób, a głównie rządow Wittelsbachowskich; — bah! cały świat służy mu za przedmiot karykatury.

Jeśli mu zabraknie materyału lub autentycznych wiadomości, dosnuje resztę fantazyą, a wtedy widzów i słuchaczów, choćby najpoważniejszych, napada konwulsya śmiechu. — Bez ceremonii popełnia co chwila plagiaty. Tylko co opowiedzianą przez kogoś z obecnych anegdotkę, z miej ca przerabia po swojemu i wypełnia ilustracyą mimiczną, którejby mu pozazdrościć mógł pierwszorzędny sceniczny komik.

Jego wyobraźnia składa się z samych wklęsłych i wypukłych źwierciadeł. A kto go nie słyszał i nie widział, naśladującego szwargot żydów galicyjskich! Klemensie Junoszo, jak pysznego miałbyś w nim interpretatora! Jest bowiem — godzi się nadmienić — poddanym austryackim, no! i z tego powodu, w międzyaktach swej satyry, zawzięcie polityknje. Habsburgów uwielbia, a z nimi i wszystko co ma styczność z czarno-żółtą monarchią. Nie ma wojska, jak austryackie, nie ma policyi jak wiedeńska, nie ma papierosów i cygar, jak c. k. „Regie". Na dzienniki z Kongresówki patrzy pogardliwie, — zaś "*Reformę*" *i* „*Czas*" formalnie chłonie.

Zabawniejszej mięszaniny dobrego tonu i cynizmu nie widuje się. Gdyby był poetą, Węgierskiego *Nice* albo *Wypadek w piwnicy*, tchnęłyby w obec jego przypuszczalnych utworów odą do cnoty; byłyby uosobienem wstydliwości. — Człowiek nawet dobrze przesycony atmosferą wszelkich cyganeryi, zatyka z początku uszy na jego codzienny słownik.

A zatem — chcesz pewnie zagadnąć miły czytelniku — do tego samego rodzaju należeć muszą i jego obrazy? A przecie o żadnym takim polaku-monachijczyku nikt nie słyszał?

Proszę się uspokoić; ja mówię tylko o muzie takiej, jaką ona jest u siebie w domu. Obecny mój bohater jest dla świata malarzem poważnym, jak każdy inny. Pornografią malarską i językową uprawia jeno dla sportu i knajpy.

Ale czy wiesz ty, co to jest *Ostadia?*

Cezary Jellenta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

(Ciąg dalszy.)

Jesteśmy tak bezstronni, że z niesmakiem czytamy odezwę do obywateli Galicyi z dnia 1go września, która w wyrazach ostrych piętnuje działalność komitetów. Ale na podstawie materyałów jakie są wydane i licznych pamiętników musimy przyznać, że komitety stawione przez p. Koźmiana nie odpowiadały całkiem zadaniu, które same przyjęły na siebie wbrew woli Rządu Narodowego.

Wiemy już, że takie samo zdanie wyrażały za czasów ich istnienia różne relacye i petycye przesyłane do Rządu Narodowego. Sam Rząd Narodowy w artykularzu przytoczonym przez p. Koźmiana, a w części i przez nas podanym, nie inaczej zapatrywał się na rezultaty działalności komitetów. Nie chcemy przytaczać cytat broszury Alfreda Szczepańskiego ze względu, iż autor nie przebierał w wyrazach i zarzucał daleko więcej komitetom, niż samo niedołęstwo.*) Wysłuchajmy natomiast jeszcze paru świadków, których o stronniczość posądzić nie można, a którzy z natury rzeczy muszą być przez wszystkich uważani za sędziów kompetentnych.

Stanisław Jarmund pisze o udziale Galicyi po latach 30tu, a więc miał czas ochłonąć, jeżeli był gorący. Przyznaje on, iż komitety składały się z ludzi „gotowych służyć sprawie narodowej", zastrzega się, że o „ich dobrych chęciach nigdy nie powątpiewał", oświadcza, „że nie ma zamiaru zarzucania braku patryotyzmu lub poczucia obawiązku" (str. 8), a słowa takie wychodzące z pod pióra b. komisarza Rządu Nar. świadczą o jego bezstronności. Nie napada też na ludzi, nie szkaluje ich, nie występuje jako członek stronnictwa. Ale ze wspomnień jego widzimy jasno niedołęstwo i gnuśność komitetów. Już wyżej wspomnieliśmy, że Galicya była według niego „dziurawym workiem". Ale pomijając kwestye pieniężne posłuchajmy co mówi o formowaniu oddziałow: kiedy w Królestwie (są jego słowa) bito się częstokroć z bohaterską odwagą, staremi myśliwskiemi strzelbami powiązanemi sznurkami i łykiem — w Galicyi po 10 miesięcy organizowano oddziały, które nigdy nieprzyjaciela nie miały oglądać; dostarczano im broń najkosztowniejszą i najdoskonalszą, którą po niejakim czasie policya konfiskowała, a potem na nowo rozpoczynało się dostarczanie (str. 9). Młodzież według Jarmunda szła z początku z zapałem pod sztandary narodowe, ale zdemoralizowana kilkodniowemi wyprawami, stawała się ciężarem kraju. Jedności działania być nie mogło, bo komitet lwowski (Jarmund specyalnie znał dobrze stosunki Galicyi wschodniej) stawał na stanowisku równo rzędnem wobec Rządu Narodowego. Wreszcie Jarmund wyraża przekonanie, że nie bardzo minąłby się ten z prawdą, ktoby chciał udowodnić, „iż gdyby Galicya nie istniała, lub za-

*) „W tył", broszura wydana bezimiennie na Szląsku przez Alfreda Szczepańskiego. Polemizował z nią Szujski w piśmie „Naprzód", stojąc w obronie komitetów, które wówczas były już uznane przez Rząd Narodowy, lojalność więc mu nakazywała stanąć po ich stronie. Szczepański zresztą potępia w czambuł wszystkich konserwatystów. Między innemi oświadcza, iż ma dowody, że chcieli przekupić Langiewicza, aby swój oddział rozpuścił.

---

wało się, że rzuci się na mówiącego, wtłoczy mu w gardło wyrazy, wybuchnie.

Pohamował się. Surowe jego oczy przeszyły Stacha, a głos głuchy padał jak uderzenia o żelazo:

— Żołnierz ma jedną świętość — swoją chorągiew, jedną wiarę — swoją przysięgę! Kto rezonuje, ten gwałci jedno i drugie! Można boleć w duszy, w najtajniejszej głębi, ale mówić — nie wolno, bez krzywoprzysięstwa i sromu! Sztandar przed tobą, a przysięga w tobie; idź i milcz. Osądzi wszystkich Bóg.

Stach zaczerwieniał i do krwi zagryzł wargi. Zwiesił głowę i umilkł wedle rozkazu. Rozłączyli się z konieczności obowiązków i przez cały dzień nie spotkali się nawet wzrokiem, choć kapitan, szarpany straszną trwogą, szukał ciągle oczu przyjaciela — daremnie.

Wieczorem, gdy rozbito obóz, Stach, wezwany jako podwładny, stanął przed kolegą w namiocie.

— Poruczniku, obejmiesz straż; pięciu więźniów, pojmanych w drodze i o świcie rozstrzelasz!

Śmiertelnie blady młodzieniec skłonił się i wyszedł. Późno było, gdy kapitan, niezdolny usnąć szarpiącej zmory i zgryzoty, wyszedł, by choć na niego popatrzeć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JULES CLARETIE.

NA POGRANICZU.

(Tłum. **H. S.**)

„Musimy koniecznie odszukać chorągiew naszą!" — To mówiąc, kapitan Deberle skinął na Orthogaray'a.

„Chodź, pójdziemy razem!"

Tak! wedrze się sam z małym Baskiem na wirch, koniecznie sam, gdyż prowadząc śledztwo osobiście, położy tamę pogłosce, kompromitującej Włochów, i skoro odszuka zagubiony sztandar, zatknie go własną ręką, a wszystko, co widział na własne oczy, opowie załodze. — Porucznik Bergier ofiarował kapitanowi swoje usługi. Ale nie przyjął ich Deberle. Bo na cóż? Sprawa skończy się za kilka godzin, mógłby bez wahania powiedzieć małemu Baskowi — lecz wie on dobrze, że tylko jego słowu dadzą wiarę żołnierze. I nie mylił się, — widoczne zadowolenie przebijało się na twarzach dzielnych szeregowców. Ba! to dopiero był wódz z tego kapitana Deberle! Nie ma z nim żartów — o tem przekonają się Włosi, bo jeźli oni są winowajcami, to pewna jak niedziela w końcu tygodnia, że płazem im to nie ujdzie. Zresztą kapitan widocznie przygotowany do zaczepki, gdyż oprócz Orthegaray'a zabrał jeszcze ze sobą czterech żołnierzy. Jakże oni szczęśliwi, że biorą udział w tej małej wyprawie! Bo któżby nie chciał towarzyszyć kapitanowi? I z wysokości szczytu pozostali żołnierze gonili wzrokiem za oddalającym się wodzem, który na czele szczupłego oddziału spieszył żwawo, opierając się na okutym kiju.

Deberle szedł prosto przed siebie, krokiem pewnym — stanowczym, przejęty doniosłością tej małej wyprawy, czując, że jego powinnością — dowieść przywiązanie do sztandaru, pod którym się umiera. Zdawało mu się, że ma jakiś ważny cel przed sobą, Nie, to nie było zwykłe ćwiczenie wojskowe, to nie była wycieczka po urwistych wierzchołkach i ścieżkach skalistych — on, przyspieszając kroku, party, jakby dziwną, niewytłomaczoną suggestyą, wyobrażał sobie, że stoi na czele wyprawy wojennej i dąży tam — tam na pogranicze. — Zbroił się równem męztwem, jakby szedł z przeświadczeniem, że u kresu swej podróży spotka się z kulą działową. Myśl jedna - jedyna, żeby jak najprędzej dowiedzieć się o losie barw ukocha-

dnego w powstaniu nie brała udziału, to powstanie w Królestwie bez porównania silniej i skuteczniej rozwinąć by się mogło.*)

Drugi świadek, daleko ważniejszy, bodaj, czy nie najważniejszy. Zaznaczyliśmy już powyżej, że p. Koźmian wyraża się o Traugucie z głębokim szacunkiem prawie z uwielbieniem. Ogólnikową tę wzmiankę wzmacniamy dosłowną cytatą paru ustępów z książki Koźmiana. Traugut „skończył jak żył i działał mężnie... Był przez siedem ostatnich miesięcy przewódzcą i duszą Rządu Narodowego; w danych warunkach postępował zawsze z energią; i przezornością, ze zrozumieniem rozpaczliwego zadania robił co tylko można było i jak należało. Wychyla się z ciemności tajnego działania jako czysta, piękna postać“.... Były w nim widocznie „silna wola i niezwykła energia dobra wiara, którą się czuło w nim, obudzała zaufanie“. P. Koźmian wspomina, że z nim konferował i daje do zrozumienia, że Traugut rad jego słuchał, bo po powrocie z zagranicy „postąpił sobie energicznie, stanowczo w duchu i kierunku, które uznawał za potrzebne“ w rozmowie z p. Koźmianem. Dodajemy do tego, iż Traugut zwyciężył zbrojne żywioły, że był uważany za „kreaturę“ konserwatystów, że za takiego dziś jeszcze przedstawia go p. Bronisław Szwarce w sprawodaniu o świeżo wydanym jego życiorysie.

Taki więc świadek, to powaga dla p. Koźmiana. Otóż ten świadek tak się wyrażał o udziale Galicyi:

„Drogośmy przypłacili nędzną pomoc Galicyi... Żywo nam się przedstawia przed oczyma cały przebieg owego niby posiłkowania powstania przez Galicyą i gdyby nas zapytano, czy więcej szkody stamtąd, czy pożytku otrzymaliśmy, ze zgrozą musielibyśmy *po najdojrzalszem zastanowieniu się* wyrzec wyrok potępienia na owo posiłkowanie... Szlachta galicyjska nie chce w nic prócz swego tytułu i kieszeni wierzyć... Prowincya ta nie dużo wyłożyła funduszów na obecną wojnę, dała z małemi wyjątkami same śmiecie w ludziach... zaszczepiła w szeregach za świętą sprawę walczących jad zepsucia i zdemoralizowania pod każdym względem...“

Tak jest, demoralizacya była wielką, ale za największy jej objaw uważać należy owe kłótnie komitetów z Rządem narodowym. Wiedział namiestnik Galicyi co czyni, polecając swoim podwładnym pomagać komitetom do zwycięstwa. Było też to jedyne ich zwycięstwo, jakiem się poszczycić mogły. Rząd austryacki wiedział, że centralizacya władzy pomoże powstaniu, a autonomja niedołężnych komitetów tylko szkodę sprawie wyrządzi. Nietylko my zresztą z przykrością czytamy dzieje owych walk o władzę. Powołujemy się na słowa konserwatysty współpracownika „*Czasu*“, który w sprawozdaniu o „Wspomnieniach“ p. Jarmunda nie może się powstrzymać od wypowiedzenia słów: „Wobec dziejowej doniosłości toczącej się o miedze krwawej walki, owe liliputowe zapasy w łonie organizacyi cywilnej robią nader bolesne wrażenie.*)

Tak się przedstawia działalność tych „lepszych“, rozsądnych, statecznych, patryotów „słowem tak zwanych konserwatystów“. Czyż można się dziwić, że p. Koźmian o wynikach ich działalności nic w swej książce nie wspomina, a tylko z niepojętą zaprawdę lekkomyślnością twierdzi, że „istotną podstawą demonstracyi zbrojnej była Galicya“ (str. 219).

Za to ma p. Koźmian czas i miejsce zajmować się stosunkowo szeroko i długo morderstwem popełnionem na radcy sądu krajowego karnego we Lwowie Leopoldzie Kuczyńskim. Fakt to zapewne smutny, ale tak drobny, że zaledwie wzmiankę o nim uczynić należało. P. Koźmian opisuje go jednak ze ścisłością reporterską, podaje w zarysie przebieg śledztwa, wylicza kilkanaście nazwisk osobistości o morderstwo podejrzanych, zacząwszy od jakiegoś Zalewicza, a skończywszy na jakimś Stanisławie Skrzyńskim, którego jeszcze w roku 1875 o to morderstwo posądzano. Pytanie jednak i to wielkie czy w ogóle Kuczyński zamordowany został na mocy wyroku wydanego przez Rząd narodowy, lub jakiś tajny sąd rewolucyjny. Pan Koźmian jest widocznie tego pewny, kiedy morderstwu nadaje wielką wagę, bo aż cztery stronnice swojej *Rzeczy* mu poświęca. Rząd austryjacki wszakże nie miał tego przekonania, kiedy minister policyi w piśmie swojem do dyrektora policyi Hammera takie mu wydaje polecenie: „ważnem jest przygotować opinią publiczną w tym kierunku, że zabójstwo Kuczyńskiego stoi w związku z ruchem rewolucyjnym w Galicyi. Wszystko dawniejsze, co sam związek ten uwydatnia, albo domyślać się każe i co do użytku organów prasowych może posłużyć... podać“. Czyż mógł przypuszczać austryacki minister policyi, że po latach 31 autor *Rzeczy w roku 1863* będzie jeszcze, choć nieproszony i nieobowiązany, wykonywał jego polecenia i „przygotowywał opinją“.

Czas już skończyć. I tak zanadto się rozszerzyliśmy nad rzeczą bez wartości. Uczyniliśmy to jedynie w tym celu, aby wykazać jak prasa bałamuci u nas opinją. W dziennikarstwie tak zwanem postępowem o książce p. Koźmiana nie znaleźliśmy dotychczas ani wzmianki, — a prasa konserwatywna przyjęła dzieło“ p. Koźmiana z taką czołobitnością i z takim zachwytem, jakby literaturze i historyi przybywał klejnot nieoszacowany. „*Neue freie Presse*“, dla której jesteśmy tylko przedmiotem urągania i nienawiści, dla której nie istnieje nawet nasza sztuka i literatura, poświęciła fejletony całe, aby donieść światu, jakie to wielkie dzieło u nas wydano. A pan Stanisław Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności nazywa książkę p. Koźmiana „znakomitą“. („Przegląd Polski“ w życiorysie L. Wodzickiego). I opinja idzie na lep tej reklamy. Tak zwana inteligencya, która niestety książek nie czyta, podaje sobie z ust do ust wieści o koźmianowskiem arcydziele. I rośnie autor, rośnie książka, rozszerzają się fałszywe poglądy w niej zawarte.

Oddajmy jednak *suum cuique:* w książce p. Koźmiana są wiadomości, których napróżno byśmy gdzieindziej szukali. Bez jego książki nie wiedziałaby potomność, że p. Koźmian jeździł do Paryża, że spacerował po plantacyach bijąc się z myślami, czy napisać w „*Czasie*“ artykuł za przyjęciem, czy odrzuceniem amnestyi, nie wiedziałby, że p. Stanisław Tarnowski pierwszą wiadomość o wybuchu powstania wyczytał przy śniadaniu w Neapolu. Faktów tego znaczenia i tej wagi jest dość sporo w *Rzeczy o r. 1863.*

K. Bartoszewicz.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Wspomnienia z pobytu w Galicyi w r. 1863. Lwów 1893 str. 7.

*) A. Szarłowski. Kwartalnik historyczny 1894 str. 550

BADANIA NAUKOWE.

Stany hypnotyzmu.

(Dokończenie.)

Objawem zdrowia umysłu jest jak najszersza rozległość pola świadomości: hypnotyzm zatem, zwężając to pole, zmniejsza wartość osoby normalnej, jest więc dla niej szkodliwym. W histeryi natomiast jest on środkiem leczni-

---

nych i tym sposobem przywrócić dawną wesołość żołnierzy — myśl ta nurtowała w nim ciągle i nie dawała spokoju. Milcząc szli już godzinę, gdy w tem rozległ się okrzyk Orthogarey'a. „Tędy wdarłem się na wirch“, wołał mały Bask, wskazując ścieżkę, wężykowato wijącą się w koło góry, której śnieżysty wierzchołek lśnił się w wysokości.

„A więc ruszajmy“, zakomenderował Deberle, I opierając się na okutych kijach piąć się poczęli w górę. Upłynęło dobre pół godziny, gdy wreszcie kapitan przystanął — przykuty może do miejsca widokiem; jaki się przed nim roztaczał. Pasma Alp włoskich i francuzkich piętrzyły się wkoło, mieniąc się w barwach akwarelowych, już to olśniewająco białych, już to malwowych blado-różowych.

Deberle z towarzyszami zatrzymał się na pochyłości góry, — droga ztąd wiła się prostopadle na dół, wpadając w wązką dolinę, która z wysokości wydawała się niewielką szczeliną — a z drugiej strony tej wązkiej doliny widać był coś — coś na kształt na dwoje przerzniętej skały..., były to Włochy. Zdawały się one tuż, tuż obok Alp francuzkich — tak blizko, że kapitan łudzić się mógł, iż rękę wyciągając, dotknie się ziemi, która jednak ziemią jego nie była.

I znowu szczupły oddział wyruszył w drogę, okolił *Mont perdu*, wreszcie zatrzymał się nad głęboko rozwartą przepaścią. Wtem Orthogaray, pochylony nad otchłanią wydał okrzyk. Deberle, przodujący żołnierzom, odwrócił się i wzrok swój wytężył w kierunku, wskazanym przez małego Baska.

„Spojrzyj tylko kapitanie! — wołał Orthogaray — tam — tam leży nasza chorągiew“.

Rzeczywiście, leżał tam sztandar na zaspie śnieżnej, na której żywo odbijały się jego barwy, leżał tam roztrzaskany przez wiatr, ze złamanym trzonkiem jodłowym, ale to był on — ten sam sztandar, na prędce sporządzony i zatknięty ręką Orthogaray'a na wierzchołku Valetty. Otóż widzicie, zawołał wesoło Deberle — jedynym winowajcą jest wiatr — teraz trzeba nam się spuścić do otchłani, ale — niełatwa to sprawa.

„Pozwól kapitanie, ja sam tam pójdę“, — nalegał Bask.

„Nie! pójdziemy wszyscy razem“, zakomenderował Deberle.

Ostrożnie poczęli się spuszczać w bezdenną otchłań, która ich ku sobie pociągała, jakby szałem zawrotu. Schodząc musieli wykuwać stopnie w śniegu; — stąpali więc niepewno — powoli po tych, na prędce zaimprowizowanych schodach, które ich coraz więcej zbliżały do głębi wyłomu. Przed chwilą zdawało im się, że wzbijają się w nieskończoność — teraz mieli uczucie, jakoby się spuszczali w jakąś głębią straszną — tajemniczą. Przeprawa była niebezpieczną. Co chwila śnieg, który pod działaniem promieni słonecznych topnieć zaczynał, usuwał się z pod okutej podeszwy. Ale cóż z tego! Tam na dole leżały barwy ukochane — upokorzone, jakby wołające o pomoc. Strzelcy alpejscy posuwali się więc ciągle naprzód, przeskakując z węgła na węgieł. Wtem, wśród głuchej ciszy, jaka dokoła panowała, usłyszał Deberle przed swą głową głos jakiś, który zdawał się go wzywać — a głos ten dolatywał go, jakby z wierzchołka sąsiedniego, z wierzchołka Alp włoskich. Deberle spojrzał w górę i — nie mylił się. Na szczycie sąsiednim stało dziesięciu włoskich żołnierzy, z dowódzcą Salvoni na czele, który przykładając rękę do czapki pilśniowej, przesyłał mu z dala pozdrowienie.

„Szukasz zapewne kapitanie chorągwi, która tu spadła“, — zagadnął włoski dowódzca. A słowa jego wypowiedziane z nieco wyszukaną grzecznością, rozlegały się wśród ciszy jasno i dobitnie.

„Tak“, odparł Deberle.

„A więc nie trudź się kolego — odrzekł Salvoni. — Tam na dole widzę swoich żołnierzy, tuż obok zaspy śnieżnej — oni szczęśliwi będą, mogąc oddać ci tę małą przysługę.“

W uprzejmem tem zapewnieniu, zauważył jednak Deberle pewien odcień zadowolenia, wyższości — jakby wyraźne przyznanie pierwszeństwa w zręczności i zwinności włoskim strzelcom. Pochylił się ku rozwartej przed nim przepaści,

czym bardzo użytecznym, osłabia bowiem czynności nerwowe, będące przyczyną cierpienia. Świadoma działalność psychiczna w histeryi tak bywa ograniczoną, że hypnotyzm nie może jej już bardziej zwężyć; zwraca on jej nawet pierwiastki pochwycone przez osobowości drugorzędne. Osoby histeryczne mogą się więc unormalniać pod wpływem hypnotyzmu, gdy osoby zdrowe, przeciwnie, tracą swoją normalność. Jednem słowem, hypnotyzm osłabia osobowość przeważającą w danej chwili, tak normalną jak i histeryczną.

Wiadomo, iż jedna osoba kilka może mieć pamięci, kilka świadomości odosobnionych, kilka osobowości: każda zaś z nich zna to tylko, co na jej terytoryum się dokonywa.

Felida, histeryczka od trzynastego roku życia, obserwowana od 1858 r. przez dra Azama, codziennie prawie wpada w stan drugiej osobowości po dwóch lub trzech minutach snu. Zdolności jej umysłowe zdają się być wtedy bardziej rozwinięte i zupełniejsze. Po pewnym czasie wesołość jej znika, wpada ona w stan odrętwienia i po trzech lub czterech minutach powraca do zwykłego swego stanu.

Zdarza się, iż charakter chorego w obu stanach zupełnie bywa różny. Sierżant z Bazeilles, ranny kulą w głowę (złamaną została lewa kość ciemieniowa) sparaliżowany był w ciągu całego roku. Pomimo wyleczenia miewał peryodyczne zaburzenia umysłu i podwójną osobowość, normalną i patologiczną. Przejście ze stanu osobowości normalnej w stan osobowości patologicznej dokonywało się niepostrzeżenie. Wszystkie zmysły prócz dotykania znieczulały się w stanie osobowości patologicznej na podniety zewnętrzne: mózg funkcyonował wtedy automatycznie.

Suggestya do podobnych doprowadzić może rezultatów. Dana osoba zapomnieć może, kim jest, nie pamiętać swego wieku, płci, narodowości, stanowiska społecznego, miejsca i czasu istnienia.

Dr. Mesnet z Paryża, zahypnotyzowawszy pewną histeryczkę, kazał jej płakać i zapytał, dla czego płacze: „Nigdy nie wyleję tyle łez — odpowiedziała — jak wtedy, kiedym była na przedstawieniu *Assomoir'u* w teatrze. Byłam w teatrze w pewnem miasteczku na prowincyi z moją matką i siostrą, przypominam sobie wszystkie szczegóły widowiska, wszystkie sceny wzruszające: bardzo wtedy płakałam“. Gdy po zbudzeniu jej dr. Mesnet oświadczył, iż lepiejby zrobiła, gdyby poszła zobaczyć inne widowisko, — „Jakie widowisko?“ — zapytała. „*Assomoir*“, o którem przed chwilą mówiłaś, a na którem byłaś z swą matką i siostrą“ — odrzekł Mesnet. „Nie widziałam nigdy *Assomoir'u* — odpowiedziała. — Matka i siostra odprowadziły mnie do drzwi teatru, lecz nie pozwoliły mi wejść“. Pod wrażeniem trzasku i wybuchu zapałki wpadła w stan hypnotyczny i odpowiedziała znowu na zapytanie, mające związek z przedstawieniem *Assomoir'u*. Okazało się, że była rzeczywiście w teatrze, lecz przy wejściu wpadła w stan hypnotyczny i w tym stanie obecną była na widowisku. W teatrze była w 1879 r. i do r. 1885 pamięć hypnotyczna zachowała się w niej całkowicie. Pamięć zresztą w hypnozie tak bywa niekiedy wrażliwą, iż długie ustępy odczytywane z książki, w języku nawet niezrozumiałym, w obec osoby zahypnotyzowanej, zupełnie dokładnie bywają przez nią powtarzane, aczkolwiek po przebudzeniu osoba ta niezdolną jest do powtórzenia kilku słów nawet.

Osoba zahypnotyzowana jest narzędziem w ręku hypnotyzera, jest jego niewolnikiem nietylko podczas snu, ale nawet przez czas jakiś po przebudzeniu; tracąc bowiem siłę oporu, zmuszoną bywa ulegać wpływom budzonych w niej skłonności, popędów i wszelkich w ogóle dążności. Osoba zahypnotyzowana podpisywać może najrozmaitsze zobowiązania, uznawać długi, których nie posiada, wykonywać na jawie rozmaite rozkazy, poddane jej w stanie hypnotycznym bez zdawania sobie z tego sprawy, oraz ujawniać skłonności zwykle ukrywane, a dzieje się to dla tego, że dążności przeciwne tym czynom, budzone przez refleksyą lub poddawane nieświadomie przez otoczenie towarzyskie, nie są w stanie, z powodu słabej ich intenzywności na widowni umysłowej osoby zahypnotyzowanej wystąpić. W stanie czuwania jednak dążności powstrzymujące mogą przeciwdziałać wpływom suggestyi. Szkoła Salpêtrière, twierdząca, że nie można zmusić hypnotyka do wykonania pewnych czynów, oraz szkoła Nancy, negująca możliwość stawiania jakiegokolwiek oporu przez hypnotyka na jawie, popełniają ten błąd kapitalny, iż nie uwzględniają różnic indywidualnych co do psychicznej natury hypnotyków. Jedne osoby zdolne są spełnić jakiś czyn występny, poddany im w stanie hypnotyzmu, inne zaś nie są zdolne.

Wiadomo powszechnie, iż kobiety zahypnotyzowane stają się niekiedy ofiarami gwałtu ze strony hypnotyzera. W szpitalu paryskim Hôtel-Dieu znajdowała się kobieta niezamężna, będąca w ciąży w ostatnim miesiącu. Stan ten zadziwiał ją, gdyż o ile pamiętała nie miała nigdy żadnych stosunków z mężczyzną. Dr. Mesnet zahypnotyzował ją i dowiedział się wówczas od niej, iż jakiś mężczyzna chodził za nią codziennie, gdy szła do roboty, lub z niej powracała: nie rozmawiała z nim ani razu. Gdy w dn. 25 kwietnia 1893 r. o godzinie 10 wieczorem weszła do budki tramwajowej, nieznajomy ów, wszedłszy za nią i spostrzegłszy ją samą, wzrokiem swym ją zahypnotyzował. Niezdolna do żadnego oporu weszła z nim do tramwaju i wysiadłszy na placu Bastylii poszła z nim do hotelu. Około północy wyszła za nim z hotelu, w godzinę zaś potem zbudziła się około Panteonu. Powróciwszy do domu, znalazła rodziców płaczących i zaniepokojonych o nią. Zdziwioną była, gdy powiedziano jej, że już godzina druga po północy. Nie pamiętała nic, co się z nią działo. W trzy dni potem, pracując razem z matką i siostrą, zerwała się nagle z miejsca, chwyciła kapelusz i szal w zamiarze wyjścia. Matka i siostra, uderzone szczególnym wyrazem jej twarzy i wejrzeniem jej nieruchomem, usiłowały ją zatrzymać. Odepchnęła je gwałtownie od siebie, szybko przebiegła schody i wypadła na ulicę pomimo że odźwierna nie chciała jej wypuścić. Znalazłszy się w mieszkaniu, w którem oczekiwał ją nieznajomy, powiedziała mu: „Oto jestem“. — „Nie mogłam inaczej postąpić — usprawiedliwiała się w stanie hypnozy — to nie zależało od mej woli. Powiedział mi na trzy dni przedtem, abym tego dnia o tej godzinie przybyła w oznaczone miejsce, gdzie będzie mnie oczekiwał, musiałam go więc usłuchać“.

Niektóre osoby mogą ulegać wpływom suggestyi nawet na jawie. U pewnego hypnotyka Bernheim tak silne wywoływał znieczulenie w stanie czuwania, iż wykonywać mógł rozmaite obroty potrzebne do wyrwania pięciu korzeni zębowych, żadnego nie sprawiając bólu. Tak samo wywoływać można znadczulenie, uczucie zimna lub ciepła, zwiększenie lub zmniejszenie wrażliwości zmysłów, halucynacye i t. d. Mówca porywający tłumy, artysta zjednywający sobie publiczność, wódz prowadzący w ogień bojowy swe wojsko, lekarz budzący otuchę w swym pacyencie, zakochany podbijający serce i zwyciężający opór swej ubóstwianej — są to czarownicy, wywierający również wpływ suggestyjny na swe otoczenie.

Dla wytłomaczenia zjawisk hypnotyzmu nie potrzeba, jak widzimy, uciekać się do jakichś hypotez nadzwyczajnych, nie potrzeba stwarzać nowego działu zjawisk. Należy tylko trzymać się dziedziny faktów i po za tę dziedzinę nie wykraczać. Inaczej bowiem, gdy nie jest się ostrożnym, łatwo bardzo można być uniesionym w krainę fantazyi (magnetyzm, spirytyzm, telepatya, jasnowidzenie), z której mało komu udaje się powrócić.

Dr. Antoni Złotnicki.

---

wzrokiem goniąc za żołnierzami, o których wspomniał Salvoni, patrzał, ale niczego nie dostrzegł. Wówczas spojrzał na swoich żołnierzy, — a oni zrozumieli ten wzrok niemy, który mówić się zdawał: „Słyszycie, co Włoch powiada, wszakże niczyjej nie potrzebujemy pomocy.“ I jakby w odpowiedzi na zapytanie kapitana, odparł Orthogaray głosem, w którym przebijała się niechęć widoczna: „Niech biorą tylko to, co do nich należy“, a Deberle, przechylając głowę, zawołał do rzędem stojących Włochów:

„Dziękuję ci kapitanie, sam pójdę“.

„Ale chorągiew spadła tuż na miedzy pogranicznej. — zatem cięży na nas wspólny obowiązek wydobycia jej z otchłani“ upierał się Salvoni.

„Lecz to jest nasz sztandar“, — przerwał Deberle. — „Za mną chłopcy!“

Brodząc w śniegu, zesuwali się po tej niebezpiecznej pochyłości, ostrożnie, powoli, skacząc po wystających gzemsach, wspierając się plecami o ścianę, rękami czepiając załamków skał i podtrzymując na okutych kijach, które im służyły za punkt oparcia w tej strasznej próżni. Co chwila zesuwali się, zatrzymywali tuż nad brzegiem przepaści, ustawali prawie w biegu, czując, że towarzyszy im wzrok kapitana Salvoni —, to znowu posuwali się dalej, coraz więcej zanurzając się w otchłani, na dnie której spoczywał sztandar ojczysty. — Miłość własna została rzuconą na kartę! Trzeba się było spieszyć, żeby włoscy żołnierze, których i tak już mniejsza przestrzeń dzieliła od celu — nie zdolali pochwycić chorągwi francuzkiej. Była to gonitwa szalona — pojedynek, w którym zręczność i zwinność przeważyć miały szalę zwycięstwa — w którym pod pozorem wyścigów kryło się współzawodnictwo gorących patryotów. — Nie był to pojedynek mięśni, lecz pojedynek serc. Kto pierwszy dotknie się sztandaru przez wiatr tu zaniesionego? Czy Francuzi zatkną go z dumą w oczach Włochów? Czy też ci obcy żołnierze pochwycą go pierwsi i oddadzą tym, co go szukali, nadadzą tej uprzejmości pozór zwycięstwa! Prędzej, prędzej, powtarzał Deberle. Lecz zachęta ta była zbyteczną. Dzielni szoregowcy zdawali się unosić w przestrzeni, opierając się zaledwie końcem stopy o skaliste odpadki. Z narażeniem własnego życia szli ciągle, bez przerwy, zeskakując lub zesuwając się po pochyłościach, mierząc zarazem okiem równoczesne wysiłki Włochów. Nagle zadrżał Deberle. Tuż obok małej szczeliny ujrzał strzelca włoskiego, który zeskoczywszy ze stromego węgła, zbliżał się do zaspy śnieżnej, na której tak jaskrawo odbijały się ukochane barwy. Jeszcze tylko mała przestrzeń dzieli go od chorągwi. — Włoch nad Francuzami miał przewagę widoczną i — zdawał się dobijać do celu, jak wyścigowiec, dzierżący czoło w gonitwie. Orthogaray, który równocześnie z dowódzcą dostrzegł śmiałego strzelca, skakał jak clown i lekki — zręcznie suwał się po piargach jak jaszczurka, po szczelinach i zakrętach muru. Ale Włoch wyprzedza. Już dotarł do sterczącego węgła, już pełzał po nim — a postępując zwolna — śmiało — jeszcze kilka metrów dzieli go od sztandaru — lecz w żywej wyobraźni kapitana francuzkiego, potrzebował tylko rękę wyciągnąć, żeby go pochwycić. Jakieś dziwne nieokreślone uczucie — jakiś gniew ogarnął Deberle'a. On — on miał zezwolić na to, żeby w oczach własnych żołnierzy, w oczach kapitana Salvoni, który z góry spoglądał na tę szaloną gonitwę, człowiek obcy dotknął się barw Francyi, żeby Włoch wręczył mu sztandar ojczysty! Byłoby to upokorzenie — rodzaj porażki. „Orthogaray, Orthogaray!“ zawołał głosem czystym i dźwięcznym. Ale mały Bask, jakoby nie ruszał się z miejsca, ręką przytrzymując kolano — pono zranione o wystające głazy. Nieco dalej widać było zesuwających się żołnierzy, ale byli oni hen — hen daleko od swego wodza. Deberle i Orthogaray dzierżyli czoło w gonitwie. — Włosi również mieli sporą przestrzeń do przebycia, — tylko ten jeden zwinny, niezmordowany strzelec tak już blisko trykoloru! Już sięga po chorągiew, tę chorągiew, o którą się współubiegali, i która tam spoczywa jak ranny na śnieżnym całunie... już, już ją bierze. Nie, oni jej nie dostaną, powtarzał w myśli Deberle, — ona

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Sabała.

Urywek z dzieła St. Witkiewicza „Na przełęczy".
(Wspomnienienie pośmiertne.)

Sabała należy do ludzi, których wartość jest niezawisłą od nabytych z zewnątrz bogactw, znaczenia lub nauki, to, co stanowi jego wyższość, jego istotną wartość, leży w nim samym, w szczególnej, wyjątkowej, oryginalnej budowie jego natury. Ludzie tacy nie mierzą się poziomem swego otoczenia, można ich przeprowadzić przez wszystkie szczeble społecznej drabiny, pozostaną zawsze tem, czem są i nie roztopią się w pospolitej masie tłumu.

Biedny, na pół ślepy góral, którego całym majątkiem jest dziś kozi serdak i cuha, w której rękawie zeszytym mieszczą się jego gęśliki; chłop, który zaledwie umie czytać i pisać, którego cała nauka leży w obserwacyach, zebranych w walce z dziką naturą i Liptakami, — ten biedny starzec byłby zwykłym dziadem, o którego „uprzątnięcie" dopominałyby się w mieście brukowe pisemka, gdyby nie jego nadzwyczajna dusza, rzucająca na jego postać i słowa światło, w którem można odnaleźć blaski, bijące od dzieł wszystkich wielkich poetów.

Kiedym po raz pierwszy poszedł odszukać Sabałę, było to w zimie; zastałem go w ciasnej izbie góralskiej chałupy, niańczącego wnuka, w strasznym zaduchu i gorącu, w otoczeniu siedmiorga jagniąt i pary cieląt, zimujących w izbie. Chudy był i schorzały. W mroku chałupy, światło okienka przełamywało się w jego przygasłych oczach czerwonym, fosfosycznym blaskiem, jakim świecą oczy owiec w ciemnościach.

Uradował się z naszego przyjścia, bo Sabała lubi świat i ludzi; nie trzeba też było długo namawiać, żeby z nami poszedł. Zarzucił cuhę, która zadźwięczała strunami gęśli, ukrytych w rękawie, obwiązał chorą głowę kawałkiem szmaty, wziął ciupagę i poszliśmy.

Mały wnuczek, przywiązany do dziadka, wygramolił się przez próg i dreptał za nami bosemi zsiniałemi nóżkami po śniegu. Z trudem zatrzymano go przy chałupie. Sabała mówił:

— Prosem piknie, to takie miłe, dobre chłopcysko! A takie śpała sprzętne, wywertne, z pieca cy kany to to kipnie, jak dziki cap! Hej!

Sabała liczy dziś ośmdziesiąt sześć czy siedm lat, i więcej niż połowa jego życia wiąże się z temi czasami bytu zakopańskich górali, kiedy oni stanowili jakieś odrębne społeczeństwo, żyjące po za stosunkami obowiązującymi w szerokich i zewsząd dostępnych dolinach.

W tych czasach, kiedy na całej dolinie Zakopanego stał jeden las czarny, kiedy „traców nie było, tylko łupali jedle i z takich łupanic stawiali chałupy wielkie, wysokie", kiedy nie było w Zakopanem ani kościoła, ani dróg jezdnych, w czasach tych wszystkie formy bytu były tak różne od tego, do czego jesteśmy przywykli w dolinach, że się o nich słucha, jak o bajce, że w najprostszem opowiadaniu, dotyczącem najzwyklejszych stron życia górali, dosłuchuje się jakichś ech z bajek, które w dziecinstwie gwarzyły niańki.

Pasterstwo, myśliwstwo, zbójnictwo są głównym tematem opowiadań Sabały, jak były wybitnemi przejawami życia górali. Lud pasterski musiał stoczyć walkę z właściwymi tubylcami tej dzikiej ziemi górskiej, wyzwolić się z ich przemocy, a potem być ciągle przed nimi na straży. Niedźwiedź, wilk, orzeł, były tymi pierwszymi nieprzyjaciółmi, które czyhały na stada owczarzy, z któremi należało się przedewszystkiem rozprawić. Ponieważ jednak człowiek i względem ludzi bywa wilkiem, więc co się nie dało wystrzydz z grzbietów owiec, co się nie zdobyło na skórze i mięsie niedźwiedzia i wszystkich innych zwierzaty dzikich, to się dobierało, „pożyczało" z komory liptowskich wolarzy, hrubych gazdów, orawskich panów i bogatych gazdów.

Z drugiej strony, lud ten, siedząc na pograniczu, wcześnie bardzo i jasno uświadomił swoją osobowość narodową, ponieważ jego sąsiedzi po tamtej stronie, którzy też „tęgie chłopy bywają", nie myśleli wcale darmo oddawać ani swoich wołów, ani owiec, ani „śrybła", i w halach zawrzała nienawiść plemienna, będąca, niestety, dotąd jednym z koniecznych zdaje się pierwiastków narodowego wyodrębniania się.

Otóż z tych bitew homerycznych z Liptakami, z tych polowań na niedźwiedzie, z walki z tą całą naturą górską, z dziwnych obrazów pasterskiego życia, z legend i bajek, streszczających całą umysłowość górali — z tych wszystkich motywów, silnych i dzielnych, składają się opowieści Sabały.

Pomimo wszystkich trudów i niebezpieczeństw życia strzelca, ciągłego czuwania z odwiedzionemi kurkami, latania po wirchach, szybkości, z jaką przebiegają wypadki — pomimo tego wszystkiego, Sabała naturę obserwował, podpatrywał, zapamiętał tajemnice jej życia, ruchu, kształtu i barwy, ztąd też jego mowa jest tak silną i obrazową.

Wirchy i przepaście, orły, niedźwiedzie, świstaki, kozice, blaski słońca, cienie chmur i mroki nocy, skały i śniegi, i wonna zieleń smereków i czarne krzaki kosodrzewiny, i szum wód spienionych, słowem, ten cały świat górski żyje w jego mowie, wzajemnie się objaśnia, ozdabia i uplastycznia.

Zwięzłość, wyrazistość, jasność i dobitność określeń jest niezrównana.

Prostota i wielka szczerość tej mowy robi to, że wszelkie fartuszki, narzucone przez konwenans na wyrazy, wydały się tu śmiesznemi. Sabała nazywa wszystko po imieniu, a nigdy jednak nie zdaje się być trywialnym.

Nie mówiąc już o uroku, jaki ma sama przez się gwara góralska, uderzająca bogactwem wyrazów i form językowych, gwara ta, użyta przez Sabałę, staje się czemś tak artystycznem, że niektóre jego opowiadania lub bajki są skończonemi wzorami doskonałości wyrażania ludzkiej duszy i świata za pomocą słowa.

Samo jednak słowo mu nie wystarcza. On nietylko dobrze myśli; umie dobrze tę myśl wyrazić, on umie mówić-opowiadać; opowiadając, żyje życiem, które wspomina. Jego nieporównanie wyrazista i ruchliwa twarz mieni się wszystkiemi odcieniami uczuć, i tak, jak ton głosu, ilustruje wypadki, podkreśla spokój lub grozę położenia. Sabała w opowiadaniu jest i sobą, i niedźwiedziem, i orłem, i skałą, i Liptakiem, i kozicą. Jego ręce rysują w powietrzu kontury grani, opadają po stromych ścianach skał, lub ważą się, jak orle skrzydła nad przepaściami. Kiedy Sabała mówi: „Do wirchu" — wznosząc oczy i palce ku górze — to się widzi szczyt zaobłoczony.

Sabała nigdy nie kłamie. Jego opowiadania nie są „szklarstwem", obrachowanem na wychwalanie i wynoszenie siebie nad innych. Nigdy nie wyciąga siebie na pierwszy plan — on jest jednym z działaczy poematu, momentem z akcyi i nic więcej. Sprawiedliwość, z jaką wychwala czyny innych strzelców, pobłażanie, jakie ma dla tych, którym się nie powiodło, przytem sympatya dla młodszych, których dzielność go cieszy, usuwają z jego opowiadań, wszystko, coby je mogło uczynić natrętnemi i nudnemi.

Sabały opowiadań słucha się tak, jak się patrzy po wiele razy na dobry, niezmanierowany obraz, jak się czyta po wiele razy pieśni Homera — z któremi mają one wiele wspólnego.

Odrzuciwszy formę wiersza, której Sabała nie używa, to wszystko, co stanowi treść życia, ten materyał, z którego są zbudowane obrazy, w jednym i drugim wypadku są te same.

Przedewszystkiem górska natura prowadzi

---

do nas należy. I nagle, jakby zmagnetyzowany, zwabiony i upojony widokiem trykoloru, który zdawał się wołać o pomoc, jak istota żywa, konająca, — w przystępie szału — skoczył ku niej. Skok był szalony, fantastyczny, nie obliczony na odległość. Okrzyk zgrozy rozległ się na dwóch sąsiednich wierzchołkach — był to okrzyk wydany równocześnie przez Francuzów i przez Włochów. I żołnierze widzieli jak wódz ich zatrzymał się tuż obok sztandaru — zrazu jakby wrosły w ziemię — zesztywniały — jak potem chwiać się zaczynał — jakby łamać we dwoje — jak wreszcie z rozkrzyżowanemi rękoma padł na chorągiew, chcąc ją może osłonić swem ciałem. W jednej chwili zatrzymał się Włoch przed leżącym plazem kapitanem, który tu zeskoczył z wysokości dwudziestu metrów. Po okrzyku zgrozy nastąpiło głuche milczenie. Orthogaray ze zwichniętą nogą dowlókł się jednak do miejsca, gdzie spoczywał wódz jego, Kapitanie, kapitanie! wołał i ostrożnie uniósł w swych rękach jego kształtną, szlachetnie zarysowaną głowę. Oczy wodza stanęły nieruchome, zachodziły mgłą czerwoną, która opadając drobnemi kroplami, wązkim prążkiem spływała po jego jasnych wąsach. Ze stoków gór zbiegli się żołnierze — i pobladły ich surowe oblicza, gdy pochyleni spoglądali na leżącego tu kapitana. Podnieśli go w pół i równocześnie z poruszeniem ciała — poruszyła się chorągiew, której szmat, zaczepiony na jodłowym trzonku, trzymał Deberle w kurczowo zaciśniętej dłoni, a żołnierzom zdawało się, że wyszeptał „pierwszy — pierwszy..." ale słowa były niewyraźne, wybełkotane zaledwie. Orthogaray złożył na swych kolanach głowę kapitana, który rozglądał się dokoła wzrokiem błędnym — jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co się działo w koło niego — co się w nim gotowało — jakby zdziwiony tym głuchym, ciężkim wysiłkiem życia gasnącego, które zatrzymane nagle w istocie przed chwilą silnej, drgającej, jeszcze pracować chciało. Czoło jego pochylało się jakby parte siłą ciężaru — — wązki prężek krwi zamienił się w pianę purpurową, lewa ręka spoczęła na piersiach, a prawica zaciśnięta nie wypuszczała sztandaru. — Zdawało się, że coś łamie się w nim, rysy się skurczyły, a z ust wytrysnął strumień krwi, który obficie spływał po białym śniegu. Głowa pochyliła się jeszcze więcej, a oczy szukały trzech barw, i wzrok jego pełen namiętnego zachwytu spoczął na sztandarze. Potem zesunął się jeszcze więcej na kolana Orthogaray'a i spokojnie, jakby na miękką poduszkę, opuścił głowę swą na chorągiew, na której skrwawione wargi wycisnęły ostatni pocałunek. Stalowe, gorączkowym ogniem pałające oczy żołnierzy, zaszły łzami. Włosi pierwsi instynktowaie zdjęli berety pilśniowe, a żołnierze francuzcy pochylili się nad zwłokami swego wodza, który tu leżał przed temi odkrytemi głowami — skrwawiony, z uśmiechem, który okrasił usta jego w tej ostatniej chwili zachwytu. Czoła ogorzałe żołnierzy, berety francuzkie i orle pióra włoskie, uchyliły się przed umarłym i przed chorągwią, — jakby sztandarem wojennym, i złożyli go na żelaznych koszturach, — jakby go unosili z pola bitwy. Strzelcy alpejscy sunęli cicho po gładkim śniegu, który w miarę jak postępowali krwią się zabarwiał — a postępowoli zwolna z ściśniętem gardłem i z żałobą w sercu po tych stromych ścieżkach skalistych, które przed chwilą przebiegli — jakby na dane hasło zwycięstwa. Pomału orszak posuwał się w górę i zbliżał właśnie do miejsca, z którego Deberle spostrzegł na zaspie śnieżnej leżącą chorągiew i nad swą głową usłyszał głos kapitana Salvoni: „Nie trudź się kolego, tam na dole widzę swoich żołnierzy. . . ." W tej chwili, wśród uroczystej ciszy, jaka zaległa dokoła — zabrzmiał jakiś głos męzki, donośny: „prezentuj broń!" Żołnierze kapitana Deberle spojrzeli w górę i ujrzeli ustawio-

do tych samych porównań; życie ludzkie, życie pasterzy u Sabały i u Homera jest tak podobne, że jeżeli na miejsce bohaterów Iljady lub Odyseji, jakkolwiek oni się nazywają, podstawimy naszych Walczaków, Pitoniów, Gąsieniców i Mardułów, nie będziemy potrzebowali dodawać nic więcej oprócz „złota i śrybła“, których homerydzi mieli do zbytku, a o których pasterze hal tatrzańskich tylko marzyli,

Skala uczuć, poziom etyczny, stosunek do natury są tak dalece te same, że kiedyśmy raz, siedząc w zimie u ogniska w Rostoce, czytali Odyseję góralom, słuchali jej jak opowiadań Sabały i bawili sią również dobrze, a nadewszystko sam Sabała niewymownie się cieszył z pomysłów Odyseusza.

Ponieważ to podobieństwo między treścią opowiadań Homera i Sabały mogłoby stanowić materyał do osobnego studyum, nie chcę zajmować tu miejsca dalszym tej sprawy rozbiorem, zaznaczę tylko, iż wartość artystyczna Sabały opowiadań, według mnie, nie często ustępuje pieśniom Homera.

Sabała gra na małych bardzo starodawnych gęślikach. Nie jestem dosyć muzykalnym, żeby ocenić, co to skrzypienie jego gęśli jest warte pod względem muzycznym: ludzie zamiłowani w starodawnych melodyach góralskich i znający się na nich, jak np. ks. Stolarczyk, albo prof. Chałubiński, twierdzą, że są one nieporównane pod względem charakteru. Dla mnie widocznem jest, iż muzyka ta stanowi jeden ze sposobów jego mówienia. Są w człowieku takie przeczucia, takie nieokreślone myśli, które tylko dźwięk bezsłowny wyrazić potrafi.

Takim wyrazem jakichś stanów psychicznych są dla Sabały dźwięki jego gęślików. Smutek, malujący się przy tej muzyce na jego twarzy, jest dziwny i przejmujący. Gdzie są wtedy jego myśli, do czego lub po czem tęskni jego dusza, nie wiem — ale on wygląda wtedy tak, jak gdyby największy żal po czemś straconem ściskał jego serce. Ten Sabała, który mówi, że nigdy w życiu smutnym nie był, że „smutkiem się żyć nie opłaci“, że Pan Bóg nawet, jak widzi człowieka smutnego, to „banuje, co takiego stworzył?“ — ten Sabała, przy swojej muzyce, wygląda tak, jak gdyby się gwałtem wstrzymywał od płaczu. Gęśliki przytem jęczą przeraźliwie. Nagle wchodzi mały Jędrek, i poprzez smutek i bolesne drganie ust Sabały przebiega jakiś weselszy uśmiech, czoło się wygładza łagodnie, gęśliki zaczynają dreptać coś wesołego. Sabała rozmawia muzyką z Jędrkiem, który stoi przed nim zachwycony i mruczy: „O! Sabala gla!“

Jak w tej chwili na jego twarzy, podobnież w jego charakterze, mieszczą się obok siebie rysy nadzwyczajnej łagodności, gwałtowności i groźnego zapamiętania. Sabała nigdy z „ludźmi“, to jest ze swoimi Zakopiańcami, „naremnym“ nie był, ale biada Liptakowi, który mu stanął w drodze, albo niedźwiedziowi, na którego się zawziął. Jeżeli, jak sam mówi, pod wpływem „palenki“ która mu się we łbie paliła, tracił pamięć z gniewu, to jednak sympatja, jaką on ma wszędzie, świadczy, że chyba rzadko dał się unieść tej pasji burzliwego temperamentu. Temperament ten można porównać do natury arabskiego konia, tak ognistego, lotnego i odważnego, który pomimo tego jest tak łagodnym i ręcznym.

Ten jego lotny i niespokojny temperament, który go niósł tak daleko, jak ciągną się Tatry, tak wysoko, jak tylko sięgną ich szczyty i dzięki któremu znają go i w liptawskich szałasach i na Białym i Czarnym Dunajcu, i na Orawskich zamkach, i w dolinach po Kraków — ten temperament nadaje też jego inteligencji wszechstronność i dziwną ruchliwość. Wielki i daleki świat go nęci i interesuje. Jemu „cliwo“ bez ludzi, on „od ojców wyucony, zeby z kazdym człowiekiem cy on zyd, luter cy katolik, ugwarzyć, poradzić albo se poradzić“. Kiedy w roku 1848 kozacy dońscy stali przechodem w Dzianiszu, Sabała zaraz poleciał z nimi ugwarzyć. „Grzecne ludzie do rzecy, jużci pili my bez cały dzień; a ten ik oficerz cy wakmistr, to zaś mówił po polsku, jako i ja, toz to pedali, co u nik świat bogaty, ludzi moc i zycie majom dobre, no, juzci wolałek uwierzyć jako mi pedali, niźli iść pytać! Hej!“

Onby teraz jeszcze do Ameryki pojechał i spróbował ośmnastostrzałowego karabina, o którym tyle słyszał.

Sabała, tłukąc się samotnie po halach, myślał o wszystkich zagadnieniach, jakie sobie umysł ludzki stawia, i na wszystkie znalazł wyjaśnienia, albo bardzo bliskie tego, co uważamy za prawdę, co przez długie wieki w ogóle wystarczało ludziom; a jeżeli jego pojęcia o zjawiskach natury lub życia ludzkiego są czasem jakieś bajeczne, to ukazują się w tak poetycznej formie, że trzeba je szanować.

Przedewszystkiem umysł jego jest wyższy nad wszelkie zabobony. Z jednej strony nadzwyczajna inteligencja, z drugiej życie w ciągłych niebezpieczeństwach, w ciągłem zetknięciu się z tym światem, w którym się lęgną wszelkie zabobony, a do którego on szedł, uzbrojony odwagą i trzeźwą myślą, doprowadziły go do przekonania, że to są wszystko plotki, o których sobie stare dziady rozpowiadają. On sam o tem opowiada — ale jak o bajce.

— Ja ta cekog już nie zaznał, ka już nie był, a nigdzie nigdy nikany, takik figlów, duków nie widziałek!

Jak Homer, niezależnie od wartości artystycznej, od tej przyjemności, jaką sprawia umysłowi ludzkiemu sztuka, ułatwiając powstawanie w nim obrazów i wyobrażeń, ma wartość świadectwa pewnej epoki rozwoju ludzkości, historycznego dokumentu — podobnież opowiadania Sabały streszczają w sobie pojęcia, wierzenia i ustrój życiowy pewnego społeczeństwa, które przechodzi już do przeszłości i które pomimo małych granic przestrzennych, na których się rozwijało, przedstawia jednak nadzwyczajny i wielostronny interes dla badaczy.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, 17 grudnia.

(Honorowe obywatelstwa. — Rodakowski dyrektorem Szkoły Sztuk Pięknych. — Pochód artystyczny. — Z towarzystwa muzycznego.)

Wszystkie prawie miasta i miasteczka galicyjskie uznały za potrzebne podziękować twórcom i głównym działaczom wystawy lwowskiej przez nadanie im swego obywatelstwa honorowego. Sposób to bardzo łatwy i tani, bo uchwalenie zajmuje kilka minut czasu, a koszta ograniczają się na zapłaceniu kaligrafa, brystolu, winiety i teki na przechowanie dyplomu.

Kraków nigdy się nie spieszy, słusznie sądząc, iż kilka miesięcy to tylko kropla w morzu wieczności, a więc stosownie do swego przyzwyczajenia i tym razem pozostał w tyle. Zaczęto nawet przebąkiwać, iż radcy miasta całkiem nie mają zamiaru iść za przykładem Tarnowa, Rzeszowa, Przemyśla i jeszcze innych mniejszych, „byle jakich“, co o nich nawet wspomnieć nie warto, grodów i miasteczek. Przebąkiwanie to okazało się czystem oszczerstwem, fałszem wierutnym, wylęgłym w głowach katylinarnych egzystencyi, dla których nie ma nic świętego. Ojcowie naszego miasta oburzyli się, a echem tego oburzenia była solenna zapowiedź w „Dzienniku polskim“. Tylko jakiś tam Przemyśl, lub Boże zmiłuj się Tarnopol, może bez namysłu (bo gdzieby to myśleć umiało) uchwalić kaligraficzny dowód uznania dla tej lub owej osobistości. Kraków powinien działać rozważnie, ocenić ludzi w miarę ich zasług, wymierzyć litrem, kilogramem i metrem zasług tych objętość, ciężkość, długość, wysokość i szerokość. Niech więc kraj czeka cierpliwie, niech zasłużeni pozbędą się trwogi, będzie każdemu odmierzone i wyznaczone, co mu się należy. Zapowiedź ta uspokoiła umysły, promienie słońca nadziei przedarły się do serc wątpiących...

Ażeby nie pozostało żadnej wątpliwości

---

nych szeregiem Włochów — a przed nimi z gołym pałaszem, na którym odbijały się różowe blaski zachodzącego słońca, stał kapitan Salvoni — oddawał on ostatni pokłon umarłemu — pokłon chorągwi, wydobytej z otchłani. W świetle wieczornym olbrzymiały te postacie włoskich strzelców ze swemi orlemi piórami i karabinami, połyskującemi się wśród blasków gasnących.

Zolnierze francuzcy postępowali ciągle naprzód, przygnębieni, z wzrokiem utkwionym w swój ciężar — niemym ukłonem dziękując za hołd, oddany zmarłemu. Lecz wzruszenie ich spotęgowało się jeszcze, gdy ponownie usłyszeli głos kapitana Salvoni: „Ognia!“ Zrazu rozległ się odgłos czysty — potem przeraźliwy, — groźnie powtórzyło go echo — łoskotem piorunu wtórowały góry.... Była to salwa ku czci bohaterów, ostatni pokłon, oddany umarłemu — pokłon, jakim żegna majtek pobożny na pokładzie okrętu — ostatnie blaski zachodzącego słońca.

ZAKOCHANA.

Helenie Zimajer ofiaruje
Autor.

III.

ZABOBONNA.

Proszę bardzo mi darować,
Nie zajmie to czasu wiele,
Że zapytać się ośmielę,
Zanim zacznę deklamować,
Jaki dzień dziś?... Bo się boję
Że trzynasty. W tym wypadku
Mówię sobie: Nazad kwiatku!
Na nic powodzenie twoje,
Bo przyznam się państwu szczerze,
Że ja w zabobony wierzę.
Dać komu papier listowy,
Szpilkę, albo nóż, broń Boże!
Choćby nawet nie stalowy,
Najgorsze skutki mieć może.
Czasem sprawcą jest skandalu,
A nawet i pojedenku. —
Raz — nie wiem na jakim balu —
Mówię do Józia: „Kuzynku!
„Alfons zawadził mi nogą
Moją suknię, nową, drogą
I rozerwał mi falbanę.
Moje serce ukochane!
Przestań bawić się na chwilkę
I daj szpilkę moje złoto!
Józiu! Królestwo za szpilkę!“
— „Ależ z największą ochotą“.
I wybiegł do drugiej sali,
Gdzie panowie w karty grali.
Wrócił po chwileczce małej,
Szpilek niosąc mi stos cały.
„Masz kuzynko ukochana!“
Wszystko dobrze. Już falbana
Dzięki szpilkom naprawiona,
Zaczynamy kotyljona.
Pan Alfons, mistrz salonowy,
Miał nam wskazać pomysł nowy
I zawołał: „Pary cztery,
Walc! ja biegnę po ordery!“
Poszedł, lecz za chwilę wpada
I do Józia — „Cóż to? zdrada?
Schowałeś pan szpilki, panie,
By wprowadzić mnie w ambaras.
Proszę mi je oddać zaraz.“
A Józio: — „To wychowanie!
Cóż to pan na mnie tak z góry?
Nie jestem lokajem pana!“
I przyszło do awantury...
Ach ta nieszczęsna falbana!
Wszystko trwało jednę chwilkę.
Ktoby się to był spodziewał?!
I kuzynek się pogniewał!
Dla czego? Przez głupią szpilkę.
Wróciłam smutna do domu
I postanowiłam sobie,
Że odtąd najlepiej zrobię,
Nie dając szpilek nikomu
I nie biorąc od nikogo.
Śmiać się ze mnie wszyscy mogą,
Że się teraz szpilek boję,
Ale ja tam już wiem swoje
I zaraz dam przykład nowy:
Pan Adam na imieniny
Przysłał mi z kości słoniowej
Nóż, chusteczek trzy tuziny

rozproszę nieco cienie, otaczające tę sprawę, tak ważną dla ogółu i społeczeństwa. W pierwszej chwili miano zamiar zrobić obywatelem honorowym miasta Krakowa ks. Adam Sapiehę. Którego dnia myśl tę powzięto, nie pamiętam, i przyznaję się do tej winy popełnionej względem historyi. Ale po dniu nastąpiła noc, ta przyjaciółka i opiekunka zbyt. rozgorzałych umysłów. Przyniosła ona ze sobą zastanowienie, tę matkę rozważnych czynów. Zrozumiano, że pierwszeństwo należy się hr. Kazimierzowi Badeniemu, namiestnikowi Galicyi, któremu nietylko wystawa, ale i Kraków ma wiele do zawdzięczenia. Znowu noc nastąpiła i znowu przyniosła mądrą radę: nie dosyć uczcić zasługi tych dwóch mężów, należy nie zapomnieć o p. Marchwickim, hr. Stanisławie Badenim i p. Gorajskim. Od tej nocy upłynęło już parę tygodni i wciąż ważą się szale zasług, wciąż każdy z radców chodzi z litrem i metrem w kieszeni. Sytuacya jest strasznie naprężoną, walczą ze sobą stronnictwa i sekcye, a przyszłość z każdym dniem staje się mniej pewną. Na jedno tylko jest już zgoda ogólna, a mianowicie, iż hr. Kazimierza Badeniego należy przed innymi uczcić obywatelstwem honorowem. Prawdopodobnie może już dzisiaj wieczorem stanie się ten zaszczyt jego udziałem, co nawiasem mówiąc, będzie całkiem w porządku.*) Inni kandydaci na obywatelów honorowych jeszcze trochę poczekają, dopóki urzędnicy od wag i wymiaru zasługi nie doprowadzą ciężkiej swej pracy do ostatecznych i pewnych rezultatów.

Nominacya Rodakowskiego na dyrektora krakowskiej Szkoły Sztuk pięknych jest już rzeczą postanowioną. „Czas“ ogłosił list otwarty do Rodakowskiego, pisany przez Wojciecha Gersona, który, po przeczytaniu „Kilku słów o malarstwie“, pisanych przez Rodakowskiego, a umieszczonych w „Tygodniku illustrowanym“ i wobec pogłoski, iż R. nie chce przyjąć ofiarowanego sobie stanowiska dyrektora. czuł się w obowiązku zachęcać go, aby nie usuwał się od pracy i urzędu, które tylko na korzyść sztuki polskiej wypaść mogą. „Streszczenie życia dawnej sztuki (pisze między innemi Gerson) a programat jej rozwoju przyszłego przez szanownego pana skreślony, uznaję za wypadek bardzo na dobie i pozwolę sobie zarazem wyrazić zdanie, iż byłoby rzeczą bardzo pożałowania godną, gdyby ten wybitny objaw żywotności znanego w Europie mistrza, doświadczonego, a jasnem okiem patrzącego w przyszłość, został zapoznany.“ Przed przyjęciem posady dyrektora miał Rodakowski, o ile słyszałem, postawić pewne warunki, tyczące się rozwoju szkoły, a mianowicie odświeżenia personału nauczycielskiego. Czy warunki te zostały przyjęte, dowiemy się zapewne wkrótce po ogłoszeniu nominacyi Rodakowskiego,

*) Rzeczywiście Rada m. Krakowa na poniedziałkowem posiedzeniu mianowała hr. Badeniego obywatelem honorowym. Przyp. Red.

Nie od rzeczy będzie zapewne podać kilka szczegółów z biografii i działalności artystycznej nowego dyrektora Sztuk pięknych. Urodzony we Lwowie, skończywszy tamże szkoły gimnazyalne, udał się do Wiednia, ażeby wstąpić na wydział prawny uniwersytetu, ale pociąg do sztuki zwrócił go wkrótce z drogi obranej. To też widzimy go niezadługo w Paryżu, zdobywającego tajemnice sztuki pod kierunkiem Leona Cognieta. W r. 1852 wystawił w salonie paryzkim portret starca, który wywołał takie wrażenie w kołach artystycznych, że młodemu artyście przyznano najwyższą wówczas nagrodę, medal złoty pierwszej klasy. I lubo próbował Rodakowski z powodzeniem sił swoich na polu rodzajowego i historycznego malarstwa pierwszy ten portret zawyrokował o właściwym jego kierunku. Dalsze jego portrety, jak portret matki, Vouillota, Adama Czartoryskiego, Mickiewicza, Rogera Raczyńskiego (jeden z najlepszych), kardynała na ambonie (również wysoko przez krytyków stawiany), jenerała Dembińskiego, Leona Kaplińskiego, jenerała Rodakowskiego, brata artysty, głośnego ze słynnej szarży pod Custozzą i t. d. spotkały się z ógólnnm uznaniem krytyki. W rodzaju obranym przez siebie stanął na równi z najznakomitszymi portrecistami europejskimi. W r. 1864 otrzymał krzyż kawalerski legii honorowej; jednocześnie rząd francuzki zamówił u niego portrety marszałków Mac-Mahona i Canroberta do muzeum wersalskiego. Po dwudziestokilkoletnim pobycie w Paryżu powrócił Rodakowski na kilka lat do Lwowa (1874), gdzie namalował kilkanaście portretów, a między innemi, jeżeli się nie mylę, Włodzimierza Dzieduszyckiego do sali sejmowej. Z innych obrazów zaznaczyć należy przedewszystkiem „Wojnę kokoszą“, dalej „hrabiego Wilczka, proszącego Sobieskiego o ratowanie Wiednia“, „Bitwę pod Chocimem“, „Chłopów w kościele“ itd. Ze Lwowa przeniósł się Rodakowski do Wiednia, gdzie na zamówienie galicyjskiego wydziału krajowego wykonał kilkanaście kompozycyi do fryzu sali sejmowej; były to kompozycye słabsze, nie leżały bowiem we właściwym zakresie twórczości artysty. Od dwóch lat zamieszkał Rodakowski w Krakowie. Po ustąpieniu ks. Marcelego Czartoryskiego z prezesostwa Towarzystwa Sztuk Pięknych powołany został na jego miejsce. W roku zeszłym artyści obchodzili w poważny sposób 40 letni jubileusz jego działalności artystycznej. Dla tych, którzy przed ukazaniem się Grottgera i Matejki nie widzą sztuki polskiej, Rodakowski jest żywym zaprzeczeniem, on bowiem był pierwszym z naszych artystów, co stanął na wyżynie europejskiej, odnosząc przed 42 laty wielki tryumf w Salonie paryzkim. Pomimo podeszłego wieku trzyma się krzepko i posiada sporo energii; piękna jego twarz, iście polska, senatorska, nadzwyczaj przyjemne sprawia wrażenie.

Kiedy mowa o artyście, warto wspomnieć o pomyśle artystycznym hr. Esterhazego. Oficerowi temu kawaleryi austryackiej, tak się podobał rynek krakowski, że podniósł projekt urządzenia na nim korowodu historycznego, przedstawiającego pochód weselny Jana Zamojskiego i Gryzeldy Batorówny. Na jednej z połaci rynku w oknach i na trybunach stosownie przybranych siedziałby król Stefan z dworem swoim. Projektodawca zobowięzuje się sprowadzić kosztem swoim oddział węgrów w kostyumach i rynsztunku z końca XVI wieku. Pomimo tej ofiarności rzecz rozbije się prawdopodobnie o brak odpowiednich funduszów. Wprawdzie hr. Esterhazy sądzi, że napłynęłoby do miasta sporo widzów, a nawet artystów i wielbicieli sztuki z różnych stron Europy, ale nadzieje te mogą się okazać przesadzone. Gdyby rzecz doprowadzona do skutku przyniosła nadwyżkę finansową skorzystałby z niej fundusz restauracyi Wawelu.

Ze świata barw przejdźmy do świata tonów. Nasze Towarzystwo muzyczne było w dniu wczorajszym świadkiem zaciętej walki pomiędzy dwoma obozami. Wogóle nasi czciciele i kapłani *harmonii*, nie żyją ze sobą w wielkiej *harmonii*. W ostatnich miesiącach wojowniczość ich tak wzrosła, że o mało prawdziwa krew się nie polała. To też na walnem zgromadzeniu było tyle krzyku hałasu, oklasków i wrzasku, że dziewiąta ich część wystarczyłaby na kilka walnych zgromadzeń. Stosunki, panujące w Towarzystwie. zmusiły jego prezesa prof. Kasparka do zrzeczenia się tej godności. Wybranym został na jego miejsce dr. Henryk Jordan. profesor uniwersytetu, znany filantrop i założyciel parku swego imienia. Jako człowiek najlepszej woli, a przytem pełen energii i stanowczości, zdoła może nowy prezes ukrócić zapał wojowniczy członków i rozpocząć erę pokojową.

W „Związku literackim“ drugą pogadankę miał niżej podpisany; mówił o teoryjkach, przyczepiających się do malarstwa historycznego. Trzecią pogadankę zapowiedział na jutro pan Zygmunt Sarnecki, który przedstawi charakterystyczne znamiona twórczości Jordana (Wieniawskiego).

K. Bartoszewicz.

I rękawiczek dwie pary.
Znaliśmy się wprawdzie mało,
Lecz pan Adam człowiek stary,
A więc dla tego jedynie
Przyjęłam. I cóż się stało?
Słuchajcie! zaraz po winie
Panowie, panie, dziewczęta,
Z tatusiem poszli do sali,
Aby oglądać prezenta.
Myśmy z Henrykiem zostali
Jeszcze w jadalni. Po chwili
Milczenie przerwałam sama
„Możebyśmy zobaczyli
Prezent od pana Adama,
Śliczny nóż z kości słoniowej...“
Boże! alež ja bez głowy
Jestem. Nieprawda? albowiem
Państwo nic nie wiedzą przecie,
Zkąd teraz znów na tapecie
Pan Henryk. — Zaraz wam powiem.
Pan Henryk, człowiek bez serca,
Tyran, z obejściem surowem,
Zazdrosny, chciwy, oszczerca,
Kłamca, potwór, jednem słowem
Narzeczony —
Lecz do rzeczy.
Pokazałam mu nóż właśnie.
„Ładny — rzekł nikt nie zaprzeczy,
Ale... niech go piorun trzaśnie!“
— Zawołał cały czerwony, —
„Tak, tak, to królewskie dary:
Nóż, chusteczki jak dla żony...“
— „Ależ panie! człowiek stary,
Poważna, godna osoba...“
— „Nieżonaci wszyscy młodzi!
I to mi się nie podoba...“
— „A mnie to nic nie obchodzi!
Dał mi i już“.
— „Tak! zapewnie!
Nic zdrożnego w tem, broń Boże!
Lecz kto daje, żądać może.“
— „Jak zażąda, to dostanie,
Rzecz nie pańska.“
— „Pani!“
— „Panie!
Nic mam już nic do mówienia,
Żegnam pana...“
— „Do widzenia!“
Śliczne miałam imieniny,
Nie mogło być chyba gorzej.
A dla czego? z czyjej winy?
Jużeście się domyślili!
Nóż nieszczęsny! od tej chwili
Nie przyjmuję żadnych noży.
Jeszcze taka rzecz się stała,
I to był złego początek,
Żem go na czas nie dostała.
Ale już dzień przedtem, w piątek.
Co? dobrze wybrana pora?
Po imieninach w niedzielę
Rano list. — Koło wieczora
Przyszedł pan Henryk. Oj! wtedy
Nie bardzo było przyjemnie,
Rozmowa szła tak od biedy
I ciągle koło pogody,
Mama przeglądała mody,
Nie mówiła ani słowa.
On był smutny, ja daremnie
Starałam się być wesołą,
Plotłam ciągle jedno w koło.
Naraz słyszę, że ktoś dzwoni...
Otwieram, wchodzi krawcowa.
Mama zaraz poszła do niej
Mierzyć suknię. My we dwoje.
Więc się pytam: „Cóż się stało
Żeś pan przyszedł? Mów pan śmiało!“
— „Rzekłbym wiele, lecz się boję...“
— „Kogo?“
— „Pani!“
— „Pan żartuje,
Jam nie straszna, po cóż trwoga?“
A on na to: „Moja droga!“
I... po rękach mnie całuje
Serce mi jak młotem biło,
Żem aż drżała... no! i jemu.
Sama nie wiedziałam, czemu
Tak mi jakoś błogo, miło;
A on upadł na kolana
I zawołał: „Mój aniele!
Przebacz duszo ukochana!
Z tobą wszystko ja podzielę,
Dziś mi szczęścia dzień zabłysnął,
Czarodziejko ty wyśniona,
Wymarzona, wypieszczona...“
No i innych rzeczy wiele,
Potem ujął mnie w ramiona
I na czole mem wycisnął
Pocałunek. Całe życie
Chwilkę tę spamiętam miłą,
Złotą chwilkę.
No! widzicie,
Jak to gładko się odbyło,
Chociaż słów nie tracił wiele.
A czemu?... ba! wolne żarty!
Bo przyszedł o w pół do czwartej
Dziewiątego i w niedzielę.

Wincenty Rapacki. (syn).

NA WYŁOMIE.

(Curiosum dziennikarskie. — Wyznanie „Kuryera Poznańskiego“. — Denuncyacya. — Pręgierz).

Artykuły nasze w sprawie Koła polskiego w Berlinie i jego zamknięcia przed okiem i uchem wyborców znalazły sympatyczne echo w „*Dzienniku Poznańskim*“. Echo to wprawdzie nie jest dość energiczne i wywiera takie wrażenie jak gdyby redakcya zlękła się własnej odwagi, ale bądź co bądź „grzeczny chłopczyk“ rozgrymasił się nieco i oświadczył. że „k o l o j e s t n i e p o p l a w n e, b o w c i ą ś s i ę b a w i w s i e k l e t y.“

Niestety nie skończył „Dziennik Poznański“ na tym „czerwonym“ proteście, lecz po swojemu zaczął mącić wodę i zasłaniać istotne przyczyny ostatniej rewolucyi w naszej reprezentacyi parlamentarnej. Widywałem nieraz w czasopismach najróżniejszych odcieni kurtyny, welony, peruki i tysiące innych przyborów teatralnych, a chociaż etyka moja szeptała mi potępienie dla roboty dziennikarskich kostjumerów, to podziwiałem przecież niejednokrotnie artyzm maskarady, te zręczne rzuty fałd w gęstych woalach, mistrzostwo świateł i cieni, wirtuozostwo dyalektyki. W artykule „Dziennika Poznańskiego“ jednak (Nr. 288 „Nasza prośba“) nawet artyzmu Bellachinich lub teatralnych fryzyerów odkryć nie podobna. Jest to garść tak pospolitych nielogiczności, tak widocznej krętaniny, że wystarczyłoby żywcem przedrukować cały artykuł bez komentarzy, aby nieudolności autora, którego po kwartanerskim stylu — *ex ungue leonem* — każdy Poznańczyk odkryje, jaskrawe wystawić świadectwo. Nie chcąc jednak wypełniać całego łamu elaboratem „najpoważniejszego„ organu pruskiego zaboru, z konieczności muszę zabawić czytelników krytycznem porównaniem dwóch charakterystycznych cytatów. „Dziennik“ zastanawia się nad głośnem posiedzeniem Koła polskiego w Berlinie i wyborami zarządu, o które w ubiegłym tygodniu lekko potrąciłem. Donosi zatem, że wygłoszono tam trzy mowy programowe, z których dwie pierwsze, poświęcone apoteozie polityki lojalnej, wywołać miały **„wielkie zdziwienie“**, trzecia natomiast zawierała potępienie ugodowców naszych i „gloryfikacyę pism secesyonistycznych“. Bezpośrednio po tej uwadze wykonuje organ „ładu i porządku“ następujące salto mortale:

„Co do ukonstytuowania się biura także są fałszywe wiadomości. Przy wyborze biura nie chodziło wcale *o zasadnicze rzeczy, bo po programowych mowach, o których wyżej wspomnieliśmy, nie mogło chodzić wcale o zasadnicze rzeczy, gdyż wszyscy posłowie zgodzili się na nie, jedni potakując im, a drudzy milcząc, ale o osobiste*. Dla tego niektórzy chcieli wybrać kogo innego na prezesa, a nie ks. Radziwiłła, to im się nie udało. P. Cegielskiego nie wybrano na wiceprezesa, bo posłowie z Prus Zachodnich chcieli, aby z ich łona wybrany został wiceprezes.“

A teraz proszę posłuchać: Mowy dwóch lojalistów wywołały „*wielkie zdziwienie*“, a mimo to „*wszyscy posłowie zgodzili się na nie*“. Wśród programowych przemówień starły się ostro dwa przeciwne kierunki: wróg lojalizmu z ugodowcami, ogień z wodą, Radziwiłł Krzymińskim, a mimo to, „*po programowych mowach nie mogło chodzić wcale o zasadnicze rzeczy, gdyż wszyscy posłowie zgodzili się na nie.*“ Tak mówi prorok poznański, ą konia z rzędem temu, kto tu się sensu zdrowego doczyta. „Wielkie zdziwienie“, i ogólna aprobata! Wiwat Radziwiłł i wiwat Krzymiński! **„Wszyscy“** godzą się na mowy, z których jedna woła „Hie Welf!“ a druga „Hie Weiblingen!“ Co to jest? Co znaczy ten poklask „*wszystkich*“ dla dwóch przeciwnych programów? Co znaczy to „*wielkie zdziwienie*“, a potem czołobitny pokłon? O! posłowie polscy! jakież świadectwo wystawia wam ten organ Księstwa, ta pierwsza powaga, ten „Dziennik nad „Dziennikami“. O czcicielu „ładu i porządku“, dekoratorze dziennikarski, jakże ty mimo woli w proch bezrozumu ściągasz Koła polskie! Reprezentanci narodu! Gwiazdka należy się „Dziennikowi“ za długoletnie usługi. Kupce mu bajeczki o starej Abderze i średniowiecznych „Schildbuergerach,“ a w dodatku powiastkę o niedźwiedziu, kamieniu i musze.

Już to nasze wielkie organy w przedgwiazdkowej atmosferze tracą do szczętu ostrożność i równowagę i tak pocieszne przewracają kozły, że niczem humorystyczne intermezza bohaterów cyrkowej areny. Ot! n. p. „*Kuryer Poznański*“ piorunuje przeciw żałobie narodowej i takie przed czytelnikami swojemi składa wyznanie:

„Przeciw szowinistycznym zachciankom narodowej w przyszłym roku żałoby, oświadczyły się wszelkie w kraju **nietylko konserwatywne ale rozsądne żywioły.**“ Salve „Kuryer Poznański“! Niech ci Bóg da zdrowie! To przeciwstawienie *konserwatywnych i rozsadnych* żywiołów, ta publiczna spowiedź skruszonego serca, wyznającego głośno własny „nierozsądek“ jest istotnie fenomenalnem zjawiskiem w dziennikarstwie polskiem. Ale nie tryumfujcie wy czerwoni rewolucyoniści z Młodej Polski! Znałem pewnego malarza, który przy butelce wina lub koniaku, pomny zasady „*in vino veritas*“, rozdzierał szaty i płaczliwym głosem nazywał siebie „ostatnim idjotą, balastem ludzkości, kretynem, niedołęgą“ i t. d. ale na drugi dzień, gdy z ironicznym uśmiechem obserwowałem jego „arcydzieła“ na sztalugach, wpijał we mnie oczy swoje i mówił głosem uroczystym: „Niech mi kto drugi takie słońce namaluje! Albo ta gra obłoków! Spojrz tylko! To nie jajecznicza, nie impresyonizm, to sztuka przyszłości.“ Z „Kuryerem“ będzie tak samo. Dziś w przystępie szczerości przyznał się do „nierozsądku“, a jutro namaszczonym głosem powie czytelnikom: „Ja mistrz, ja prorok, ja zbawca narodu, bo w klerykalizmie i konserwatyzmie jest przyszłość ojczyzny.“

Lecz artykuł „Kuryera“ w sprawie żałoby narodowej ma obok strony humorystycznej jeszcze inne akcenty, które nie śmiech lecz wstręt jedynie obudzić muszą w społeczeństwie myślącem. Denuncyacyjne praktyki „Kuryera“ nieraz już jaskrawy wyraz w piśmie tym znalazły, a obecnie święcą swój tryumf, sięgając po nowe laury na schyłku roku starego. Oto, co czytamy pod adresem „skarbu narodowego“ w tym wielbicielu „Prusaków polskiego języka:“

„A na co te skarby narodowe, na które z biednych emigrantów w Ameryce polityczne warcholstwo wydusza grosze, jeżeli nie na dalsze spiski knowania, sprzysiężenia, prasę rewolucyjną i t. d.“

Przed niedawnym czasem „Kuryer Poznański“ obrzucił błotem jednego z najszlachetniejszych filantropów polskich p. *Erazma Jerzmanowskiego*, — dziś dzieło, otoczone skrzydłami opieki jego, w kłamliwe stroi kolory i pisze tak, jakby za drzwiami Europy stała polska rewolucya, polskie, sprzysiężenie, ukute groszem amerykańskiej Irridenty. Dla zabicia przeciwników politycznych, nie upatrujących w bezwzględnym lojaliźmie zbawienia ojczyzny i rzucających grosz krwawo zapracowany na ołtarz publiczny, aby budzić ducha w narodzie, popierać instytucye ojczyste, bronić kresowej polskości, — dla zabicia tych którzy w kościołach swoich mają inne bogi niż knut i pikelhaubę, — dla zabicia tych, którzy niewoli narodu śmiercią nie mianują i zwinąwszy sztandar rewolucyi, nie drą w kawały sztandaru opozycyi, — dla zabicia serc i duchów gorętszych przywołuje się widmo spisków i straszy krwią i pożogą spokojne społeczeństwo. Mówisz, szanowkolego, że „piekło płaci kupony“ za pracę około żałoby narodowej, a któż tobie za dobrowolny sykofantyzm zapłaci?

Zal mi, że w tej uroczystej chwili, gdy anioł ciszy i spokoju krąży ponad ziemią, gdy chór miłości rozbrzmiewa w świątyniach i czar ukojenia po serca ludzkie, feljeton mój zgrzytnie dysonansem w gwiazdkowej harmonii, ale mamże milczeć, gdy w łamach „Kuryera“ w bezprzykładny sposób szarpią i kąsają ludzi uczciwych i patryotów gorących. Nie przeczę, że w warszawskiej odezwie publikowanej przez redakcyę „Gońca Wielkopolskiego“ jest farb jaskrawych za wiele, nie przeczę, że ja sam kruszyłem kopje za umiarkowaniem w żałobie, narodowej, ale polemika „Kuryera Pozn.“ jest najbrutalniejszą napaścią, jaką kiedykolwiek w polskich dziennikach spotkałem. Nie dość bowiem, że „organ duchowieństwa“ mianuje „Gońca Wielkopolskiego“ lokajem spółki K. H. T., ale w końcu posuwa się do takiej kolumnii:

„Co zaś porządny Niemiec o takich warchołach myśli, — domyślić się nie trudno! Takich ludzi traktują tak jak politycznych szpiegów. Korzystają z ich podłych prac, — **płacą im za nie srebrnikami i pogardą.**“. A więc tak daleko już doszło w dziennikarstwie poznańskiem, że przeciwników politycznych mianuje się *płatnymi szpiegami*, że ludziom nieostrożnym może, ale uczciwym, zarzuca się przekupstwo i między naród ciska oskarżenie: „Goniec Wielkopolski“ to Judasz, który za niemieckie srebrniki sprzedaje ojczyznę! — Trudno! Inaczej postąpić nie mogę i z wyrazem żalu na ustach w uroczystej godzinie gwiazdkowego święta piętnuję tego, którego imię jest „Kuryer Poznański“.

Sulla.

Wolne głosy.

Od jednej z czytelniczek „Przeglądu“ odbieramy list następujący:

W sprawie żałoby narodowej.

Mam przed sobą artykuł pani I. Moszczeńskiej „Sclavus saltans“, a obok Nr. 287 „Kuryera Pozn.“ Wybacz mi siostro-Polko, że świętość słów Twoich śmiem znieważyć takiem zestawieniem, lecz czynię to jedynie w tym celu, aby obok szczerej radości i prawdziwego szacunku, jakim mnie przejął Twój „głos wolny“, tem jaskrawiej odbijał wstręt wywołany głosem „prusaka mówiącego po polsku“. — Kiedy w przedostatnim numerze „Przeglądu Pozn.“ przeczytałam Twe słowa, serce zabiło mi dumą i wdzięcznością. Chciałam też wyrazić Ci ją zaraz w następnym numerze, lecz zaczekałam jeszcze, sądząc, że inna, zdatniejsza odemnie, lepiej z zadania tego się wywiąże. Omyliło mnie przeczucie, więc choć i dziś nie ośmieliłabym się wobec talentu Twego wystąpić z dłuższą polemiką, choć pióro moje nieudolne w słabe zaledwie kontury i barwy blade ubrać może myśli i uczucia, to jednak pozwól, że w kilku krótkich słowach ci odpowiem. Pytasz, czy kobiety chcą tańczyć w rocznicę ostatniego rozbioru Ojczyzny? Nie, siostro, my Wielkopolanki balować nie chcemy i nie będziemy! Przekonasz się, że nietylko Ty, Sulla i ta, która pierwsza odezwała się w sprawie żałoby narodowej, nietylko Wy troje, ale z Wami ci wszyscy, którzy nie samym językiem, ale duszą i sercem są Polakami, pamiętać będą, że sto lat temu wyrządzono nam straszną, ciężką krzywdę, i że stojąc pod sztandarem białego orła, który nam się w tę smutną rocznicę w krepowej przedstawia zasłonie, nie o zabawach myśleć będziemy, lecz o tem, jakby w żałobnych wspomnieniach serce narodu namiętną rozpalić miłością i na takim fundamencie zbudować gmach pracy narodowej, gdzie kiedyś może tryumf ojczyzny święcić będziemy wesoło.

A teraz zwracam się do ciebie, autorze artykułu „z miasta“ w „Kuryerze Pozn.“ (nr. 287).

Nie czytuję „Kuryera Pozn.“, gdyż brzmi w nim nuta, dla mnie niesympatyczna. Dzisiaj podano mi go dla pokazania, jak niesmaczną strawę podaje pismo to swym „wytrawnym“ czytelnikom.

Być może, że artykuł „z miasta“ nie wart wcale, aby uroczyście świecę złamać nad autorem jego, lecz zasługuje chyba na wzdrygnięcie ramion, lub jeszcze dobitniejszy znak lekceważenia, ale mnie on napełnił takiem oburzeniem, że milczeć nie umiem — nie mogę. Jakto?! Więc żałoba narodowa w setną rocznicę ostatniego rozbioru Polski, to nonsens? Więc ten, kto nawołuje do niej, szkodzi naszej spra-

wie, a przysługuje się antypolskiej spółce? Ciekawą jestem doprawdy, kto te wszystkie brednie napisał i różne domysły przychodzą mi do głowy. Jeżeli nie chciałabym posądzić tego pana po prostu o pewne zaburzenia w komórkach mózgowych, to w każdym razie przypuszczać mogę, że jest to człowiek bardzo stary, któremu wskutek wieku umysł się już przytępił. Jeżeli jednak i ten sąd jest mylnym, — jeżeli to nie jest starzec z pleśnią na duszy i bielmem na oczach, to musi mieć inne powody, które sprawiają, że tak gorliwie broni się przed żałobą narodową. Może to jest młodzik, któremu do twarzy we fraku i białej krawatce, i dla tego drży z obawy, aby go nie ominęła sposobność przypodobania się w stroju tym płci pięknej. A może to jest ojciec, mający „pannę na wydaniu“, którego przeraża myśl, że nie znajdzie męża dla córki, jeżeli jej na bal nie zaprowadzi. Uspokój się młodzieńcze! zaręczam ci, że żadna uczciwie i szlachetnie myśląca Polka nie odda swej ręki temu, który w r. 1895ym balować będzie. Uspokój się i ty, ojcze zbyt troskliwy, gdyż bądź pewien, że żaden uczciwie i szlachetnie myślący Polak nie ożeni się z kobietą, która w roku 1895ym przy dźwiękach mazura na balowej sali święcić będzie żałobę narodu.

Zresztą, kimkolwiekbądź jesteś, dam ci jedną radę. Otóż wstąp do straży ogniowej, skoro tak koniecznie pragniesz „gasić“; tam ci się powiedzie, tam znajdziesz pole do popisu dla swoich zdolności. Ale nie próbuj nadal gasić ducha u młodych i szlachetnych, bo to ci się nigdy nie uda, bo duch ten mimo twych wstrętnych usiłowań żyć będzie zawsze, pobudzany ogniem prawdziwego patryotyzmu, nie przytłumionym samolubnemi dążeniami. Spamiętaj sobie, że nie zwolennicy żałoby narodowej szkodzą naszej sprawie, lecz ty właśnie i tobie podobne serca zajęcze, które nawet łez się lękają. Odwagę i głoszenie prawdy wróg sam uszanuje, podczas kiedy waszą niebezpieczną komedye z arlekinem lojalizmu w tytułowej roli i z akompaniamentem sennej kołysanki w orkiestrze, przyjmą ze śmiechem i wzgardą, której w istocie jest godna.

Szowinistyczne zachcianki, a przyznanie się do smutku w rocznicę nieszczęśliwej dla kraju naszego chwili, to rzecz zupełnie odmienna, choć niestety biedny autor z „Kuryera“ rozróżnić tego nie umie, i żeby się czasem nie narazić panom K. H. T., woli pisać jedną niedorzeczność za drugą, niż zdobyć się choćby na odrobinę cywilnej odwagi.

Jeszcze raz więc zwracam się do Was. rodaczki moje. Nie dajmy się oszołomić takim pismom, jak „Kuryer Poznański,“ nie dajmy w siebie wmówić, że „rozwaga“ zabrania nam okazywać tego, co czujemy; słuchajmy serc naszych i pokażmy tym mężom „wytrawnym i spokojnym“, że każda z nas, choć kobieta, choć nieraz młoda, słaba i niedoświadczona, większą jest od nich, bo ma odwagę być samą sobą. Nie zapomnijmy, że rumieniec wstydu musiałby oblicza nasze zczerwienić, gdybyśmy się w tę smutną rocznicę ukazały na sali balowej. Ojczyzna nasza żyje, lecz przed stu laty boleśnie została ranioną i wspomnienie tych ran nie pozwala nam dzisiaj bawić się i tańczyć.

J. T.

Humorystyka teatralna.

(*Biedna dziewczyna*).

Napisać krytykę według swojego „widzimisię“ nie jest rzeczą trudną. Czy ona jednak przypadnie do smaku choćby czwartej części czytających? Wielokrotne próbki na tem polu przekonały mnie, że nie. Wyrzekam się więc mojego „ja“ i, pragnąc, aby i wilk był syty i koza cała, pójdę za głosem ogółu, pozostawiając jemu dzisiejszą ocenę sztuki. — Z czego się składa ogół? Na to mi każdy przeciętny obywatel poznański odpowie, że z jednostek — a zatem: z Tytanów pióra, czyli literatów, z głodomorów, czyli poetów i artystów, ze smakoszów czyli bankierów, z kupców, robotników i z wielu innych „malkontentów“, ciągnących taczkę żywota. A więc ogół to dąb silny, z którego pnia wystrzeliły gałęzie sztuki i przemysłu. Zanim czytelnik się opamięta zkąd zapożyczyłem sobie tego kwiecistego porównania, zawiążę rozmowę z jednym, że się tak wyrażę, „listkiem“ z gałęzi „bławatów“, który właśnie tu zmierzą.

— No i jakże się panu podobała „Biedna dziewczyna“

— Bajeczna rzecz! Kochany panie, gdyby p. Knapczyński chciał u mnie sprzedawać i tak liczyć jak na scenie, tobym mu oprócz pensyi dołożył co wieczór kolacyę.

— Ma pan słuszność, no, a treść sztuki?

— O! wyborna: kapelusze, okrycia, wszystko comme il faut.

— No, a z artystów, panie.... niby co do gry.....

— A! co do gry... to rzeczywiście trzeba przyznać, że Zimajerówna miała śliczny kostjumek, ale za to frak jednego z tych kawalerów był haniebnie skrojony.

W ten sposób „gałązka“ przemysłu oceniła ze swego punktu sztukę i artystów.

A teraz niechaj na innej gałęzi zaszeleszczą liście.

— Kochany Doktorze, widziałem, żeś się bawił na „Biednej dziewczynie“.

— A! niezła rzecz, wcale nie zła, nic nowego, ale uśmiać się można, tylko z tą dentipuriną to już przesada; przecież nie potrzeba być na to doktorem, aby wiedzieć czy ta lub owa mikstura zawiera substancye trujące lub nie. Zresztą wszystko zależy od organizmu. — Artyści bardzo ładnie grali, trochę może za nerwowo, ale ładnie...

— Kogo ja widzę? pan Onufry? Co pan robi w Poznaniu?

— Przyjechałem po te... uważasz pan... różne „fiidrygalki“ dla malców na gwiazdkę.

— Zdaje mi się, że widziałem kochanego pana w teatrze.

— A no byłem, uważasz pan, trzeba popierać przecież sztukę.

I jakżeż zadowolony pan Dobrodziej?

— No, wiesz pan, ten Trapszo to znakomitość, jak on to świetnie, panie, o tych kołyskach i o tym... panie, atramencie... Jak żonę kocham, to samo u nas było w przeszłym roku. Antoś spadł z fotelu a Władek napił się octu.

Pożegnawszy się z poczciwym panem Onufrym dalej zbierałem notatki, których już nie podaję, — ośmielam się jednakże dołożyć i moje zdanie, boć przecie i ja do ogółu należę. — Rządzimy się dewizą — krótko i węzłowato. — Sztuka zabawna i nieszkodliwa. Artyści grali z humorem. Przedstawicielka tytułowej roli, p. Zimajer, ujęła nas „wdziękiem“ w prozie i „dźwiękiem“ w śpiewie.

Pani Łaska grała swoją rolę con amore, co i panu Knapczyńskiemu przyznać musimy. Pan Trapszo był nieporównanym Gigerlem. Sztukę wystawiono nader starannie, — o! staranniej niż Otellów i inne klasyczności. Niechże sobie teraz łaskawy czytelnik to wszystko razem zmięsza, a otrzyma „bigosik“ ogólnej i bezstronnej kryki ku zadowoleniu wszystkich.

Ortog.

P. S. Przepraszam państwa: Czy i małoletni mają głos? Bo właśnie córeczka pani X. zaszczebiotała czarującym dyszkantem: „Najlepiej grał pan Rapacki, a szczególniej to co śpiewa. Wprawdzie i pan Majdrowicz ma ładny głos, ale się nie patrzy tak ładnie i jest brunet, a ja nie lubię brunetów.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Dowiadujemy się, że w całem Księstwie poznańskiem, a mianowicie w samem Poznaniu myśl umiarkowanej żałoby narodowej zyskuje coraz więcej uznania i poparcia. Mianowicie w kołach kobiecych obudził się ruch nader żywy przeciw urządzaniu zabaw i balów publicznych, a agitacya jest tak sprężystą, że niezawodnie żadne z zapowiedzianych igrzysk karnawałowych nie przyjdzie do skutku.

Wiadomości społeczne i polityczne Proces Dreyfusa rozpoczął się 19 grudnia w Paryżu. Na żądanie komisarza policyjnego wykluczono publiczność. — Hurko otrzymał wreszcie urzędową dymisyą z tytułem feldmarszałka. — Nie ulega dziś już żadnej wątpliwości, że węgierski gabinet ministeryalny złoży urzędy swoje. Utworzenie nowego gabinetu powierzy cesarz baronowi Dezyderemu Banffy lub Kolomanowi Szell. — Skandal wywołany przez Giolittigo we Włoszech, a kompromitujący Crispiego, doszedł do takich rozmiarów, że król zawiesił posiedzenia izby aż do dalszego rozporządzenia. Wzburzenie umysłów jest przestraszające. — W Jeżycach pod Poznaniem utworzono w tych dniach nowe towarzystwo „Sokół“. Prezesem jest dr. Mackiewicz.

Teatr i muzyka. W czwartek 27 grudnia odegraną zostanie w teatrze poznańskim na benefis p. Knapskiego głośna komedya Mozera p. t. „Wojna w czasie pokoju.“ Sztuka ta obiegła wszystkie sceny europejskie, uwieńczona uznaniem publiczności i krytyki, a powodzenie niezwykłe skłoniło autora do napisania drugiej części utworu (Reiff-Reiflingen), która pod firmą „Pułkownika Szykowskiego“ ujrzała w ubiegłym sezonie na scenie naszej światło kinkietów. „Wojna w czasie pokoju“ przewyższa pod względem humoru i artystycznego układu Pułkownika Szykowskiego,“ a jak się dowiadujemy postarała się dyrekcya dla utworu tego o nowe kostyumy i role powierzyła najlepszym artystom poznańskim Sympatyczny beneficyant, który w rolach lekkich amantów zdobył sobie na scenie naszej złote ostrogi, wystąpi w roli młodego oficera, a nie wątpimy ani chwili, że nowa ta kreacya stanowić będzie jeden z najpiękniejszych momentów jego działalności artystycznej. — W ubiegłą sobotę wznowiono na scenie poznańskiej starą, balastem rezonerskim i deklamacyjnym przeładowaną komedyę Zalewskiego p. t. Friebe. W utworze tym zjednał sobie ogólne uznanie publiczności i krytyki p. Sosnowski, w roli młodego fabrykanta, odtworzonej z prawdziwie dramatyczną siłą. Z innych artystów zasługują na wyszczególnienie panie Królikowska, Wróblewska i Jakubowska, oraz panowie Skirmunt i Rapacki. Panna Trzcińska zaprezentowała się publiczności w roli śpiewającej „amatorki“ i dowiodła, że rozporządza głosem dość silnym, ale śpiewa prawdziwie po amatorsku. — W berlińskiem „Deutsches Theater“ wystąpiła trzykrotnie Eleonora Duze w Damie Kameliowej, Cavaleria Rusticana i Gnieździe rodzinnem. — Leoncavallo pisze nową operę p. t. „Vita dei Bohemi“. — W mieście naszem bawi słynna artystka operetkowa pani Adolfina Zimajer. — Aktor Rufin Morozowicz napisał dla Teatru Małego w Warszawie trzyaktową komedyą p. t. Cały los. — Na konkurs dramatyczny, ogłoszony przez wydział krajowy we Lwowie nadesłano, 45 rękopisów. Przyznanie nagród nastąpi w lutym. — W czasie świąt odbędzie się we Warszawie przedstawienie słynnej opery Smetany p. t. „Prodana Nevesta“. — Na scenie lwowskiej wystawiono obrazek Z. Przybylskiego p. t. „Na przekór.“

Nr. 24 „Swiata“ krakowskiego zawiera w dziale rycin portret Rubinsteina, śliczną „Melpomenę“ Pawła Merwarta, „Bretonkę“ Mieczysława Reyznera i portret H. Modrzejewskiej w roli Magdaleny z „Gniazda rodzinnego“. W dodatku znajdujemy początek czwartego aktu dramatu „Hernani“ w nader starannym przekładzie. Dział literaki mieści szereg cennych artykułów, z których na wyszczególnienie zasługuje „Henryk Ibsen“ p. L. Szczepańskiego.

Zmarli:

Nepomucen Czarnowski, autor wielu dzieł historycznych, a zwłaszcza „Dwaj Zygmunci“, „Ukraina i Zaporoże“, „Zamek Warszawski“ itd. zm. w Warszawie.

Franciszek Korbutt, współpracownik Gazety Polskiej, zm. w Warszawie.

Hilary Simers, wybitny publicysta angielski, zm. w Algierze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Mikado. Odcinek nasz zajęty na czas dłuższy. Łaskawej propozycyi zatem przyjąć nie możemy.

M. T. Wątpimy, czy w Poznaniu znajdzie się nakładca, ale racz się pan zgłosić do dr. Celichowskiego w Kórniku.

Jadwiga. „Giudecca“ to nie nazwisko osoby, lecz pewnej dzielnicy w Wenecyi.

Mariusz. Spełniliśmy życzenie pana w dzisiejszym numerze.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

P. prezes radzca Stanisław Motty 1 mr., p. Wład. Marcinkowski, rzeźbiarz-artysta, 1 mr. p. Prabucki z Berlina 1 mr. Razem 3 mr. — Ogółem zebraliśmy dotychczas 665,75marek.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Od Administracyi.

Panu T. K. w S. Numery te niestety zupełnie są wyczerpane i nie ma widoków na ich uzyskanie.

Do dzisiejszego numeru dołączamy jako nadzwyczajny dodatek nowe czasopismo pod t. „Przyjaciel Rodzinny“ Karola Miarki w Mikołowie.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.